EPOKA

ROK VI. Warszawa, 25 lutego 1939 r. ROK VI Nr 6 (145)

NA SZLAKU WIELKIEJ AWANTURY

Kiedy, parę zaledwie tygodni temu, ustępował z prezesury Reichsbanku wielki magik finansowy Trzeciej Rzeszy, były republikanin, były demokrata, a zawsze i niezmiennie wierny sługa niemieckich magnatów trustowych, doktór Hjalmar Schacht — różnie oceniano to wydarzenie. Koła oficjalne Rzeszy mówiły, rzecz jasna, o prostej „zmianie warty", o zastąpieniu jednego wiernego sługi Führera drugim, jeszcze wierniejszym; przyznawały co najwyżej, że będą dokonane pewne pociągnięcia, mające na celu ostateczne włączenie Banku Rzeszy do systemu „narodowego socjalizmu".

Giełdy międzynarodowe — dawno już straciliśmy naiwną wiarę prostaczków w mądrość i zdolność przewidywania matadorów pancernych kas! — denerwowały się plotkami o jakiejś „socjalizacji" Trzeciej Rzeszy, o jakichś szatańskich, antykapitalistycznych planach p.p. Goeringa i Goebbelsa. Na lewicy wreszcie znaleźli się tacy, którzy widzieli w jego ustąpieniu hitlerowskie S. O. S. pod adresem światowego kapitału, dowód, że sytuacja gospodarcza Trzeciej Rzeszy stała się już beznadziejna, że znajdujemy się w przededniu „wielkiego Kladderadatschu", wielkiego załamania gospodarczego, które automatycznie zmiecie brunatną tyranię i wyręczy w ten sposób masy ludowe Niemiec.

Oczywiście — żadna z tych przepowiedni nie spełniła się i spełnić się nie mogła. Nie ze zmęczenia poprostu ustąpił twórca całego systemu finansowego III Rzeszy. Nie ustąpił ze strachu przed „socjalistycznym" radykalizmem jakichś hitlerowskich „ekstremistów", gdyż „radykalizm" tych „ekstremistów" wyraża się jedynie w radykalniejszym gnębieniu demokratycznej większości narodu niemieckiego, w radykalniejszym przygotowywaniu nowych awantur wojennych, w radykalniejszym urządzaniu pogromów żydowskich i w prześladowaniu chrześcijan, katolików i protestanckiej „Bekenntnisskirche". Nie przyszedł wreszcie po upadku Schachta „wielki Kladderadatsch", gdyż żaden ustrój i żaden reżym nigdy nie załamał się sam, własną zgnilizną i rozkładem, gdyż każdy ustrój i każdy reżym upada dopiero pod ciosami atakujących go przeciwników.

Jeśli jednak ustąpienie Schachta mogło wywołać tak rozmaite, a jednocześnie tak niezgodne z rzeczywistością wnioski, to przyczyna tego faktu spoczywa w tym, iż źródłem jego ustąpienia były niewątpliwie problemy walutowe, problemy techniki monetarnej, a właśnie ta dziedzina należy do najmniej znanych nawet przeciętnie inteligentnemu czytelnikowi gazet.

Tajemnica powodzenia Schachta

Wiadomo było powszechnie, że Schacht „nakręcił" koniunkturę niemiecką. Że „nakręcił" ją przy pomocy skomplikowanych manewrów walutowych. Że w rezultacie tych manewrów Niemcy mają koniunkturę w przemyśle i wysokie liczby zatrudnionych, ale nie mają złota, mają bardzo mało do jedzenia, że marka niemiecka — ściślej mówiąc nie marka, lecz marki, bo istnieje dziś na giełdach zagranicznych kilkanaście różnych, po różnych kursach notowanych typów „marek", — sprzedawana jest zagranicą po kursie o wiele niższym niż w kraju. Czyż wszystko to nie jest podobne w dużym stopniu do obrazu, jaki każdy z nas zachował w pamięci z czasów naszej polskiej inflacji? Czy nie należy się więc spodziewać, że i w Niemczech nastąpi to, co pamiętamy z roku 1923 w Polsce, w niemieckiej Republice weimarskiej, w Austrii? Że znowu wyjdą na ulice miast niemieckich pochody nie ze znakiem swastyki lecz pod sztandarami demokracji i socjalizmu? Niestety, cała rzecz polega na tym, że „w dużym stopniu" to bynajmniej nie „to samo" i że te same znaki, które ongi wieściły pochód socjalizmu i demokracji, dziś zapowiadają przede wszystkim grubą awanturę wojenną.

Sprecyzujmy, o co nam chodzi: inflacją nie jest bynajmniej, jak to się powszechnie zdaje, każde pompowanie banknotów do obiegu. Nie znaczy to, oczywiście, by rację mieli „psychologowie walutowi", konstruujący pieniądz na jakimś mistycznym „zaufaniu do Wodza", a nie na konkretnym złocie i na konkretnych towarach. Marka nie trzymałaby się ani chwili nawet w swej obecnej chwiejnej równowadze, gdyby opierała się jedynie na, kwestionowanym przez wielu obserwatorów, zaufaniu narodu niemieckiego do jego aktualnego kierownictwa. Inflacją jest tylko takie pompowanie banknotów do obiegu, przy którym liczba banknotów przekracza realnie istniejące zapotrzebowanie banknotów i przy którym banknoty zbędne w obiegu nie mogą być i nie są z niego wycofywane. Cała genialność Schachta polegała na tym, że pamiętał on o tych dwóch zastrzeżeniach. Po pierwsze: zapotrzebowanie obiegu na banknoty nie jest wielkością stałą; jest zmienne. Nie wdając się w szerokie omawianie formuł, stwierdźmy poprostu: zależy ono, caeteris paribus (przy wszystkich innych okolicznościach niezmienionych) od rozmiarów działalności gospodarczej. Tam gdzie obroty są duże, gdzie ludzie dużo kupują i sprzedają, gdzie dużo płacą, tam trzeba dużo banknotów, tam obieg może być większy. Gdzie dzieje się odwrotnie, tam obieg musi się kurczyć. Jeśli obroty wzrosną w dwójnasób, a obieg banknotów wzrośnie o tyleż, to wszystko będzie w porządku, bo wzmożonej sumie banknotów będzie odpowiadała wzmożona suma obrotów, wzmożona liczba towarów na rynku. Naodwrót, niech obieg banknotów będzie bez zmiany, a obroty skurczą się do połowy, to wystąpią typowe zjawiska inflacyjne, bo banknotów będzie za dużo w stosunku do obiegu. Schacht spróbował ryzykownej operacji: wpierw wypuścił banknoty, by przy ich pomocy dokonać ożywienia obrotów. Do tej prostej operacji sprowadzają się, niezwykle sprytnie skonstruowane, jego sztuczki ze słynnymi „wekslami specjalnymi", bonami państwa i jak jeszcze te wszystkie dokumenty się zwały. Nowymi banknotami puścił w ruch olbrzymie zamówienia państwowe, a te zamówienia pozwoliły na uruchomienie przejętego po republice weimarskiej olbrzymiego potencjału przemysłowego Rzeszy. Maszyna ruszyła.

Schacht jednak rozumiał, że banknotów jest za dużo, w stosunku do realnego uruchomienia aparatu gospodarczego. Pamiętał więc o drugim zastrzeżeniu: banknoty trzeba ściągać z obiegu, nadmierne ilości banknotów trzeba wycofywać z powrotem do kas Banku Rzeszy. Schacht robił to na dużą skalę. Jego to naciskowi przypisać trzeba gwałtowne przykręcenie śruby podatkowej (ciężar podatków w Rzeszy wzrósł blisko w dwójnasób w ciągu ostatnich kilku lat!), jego koncepcją były również, bez przerwy rozpisywane, dobrowolne, półdobrowolne i zupełnie nie-dobrowolne pożyczki wewnętrzne, na jakie składali się obywatele Trzeciej Rzeszy. Schacht starał się rozpaczliwie o utrzymanie równowagi pomiędzy zapotrzebowaniem obiegu na banknoty, a rzeczywistą ilością banknotów w obiegu.

Udawało mu się to w dużym stopniu, ale nie udało — bo nie mogło udać — w całej pełni. Nie udało się dlatego, bo wydatki, jakie finansował swymi banknotami, przyjmowały realną postać nie jakichś pożytecznych przedmiotów, nie objektów konsumcji, nie nowych zakładów fabrycznych, pracujących na użytek bezpośredni całego społeczeństwa. Wcielały się one w rzeczy o wyższej, by tak rzec, mistycznej rentowności. Za te wydatki zrodziła się potęga militarna Rzeszy, która wprawdzie pozwoliła zdobyć — w wojnie bez wojny — Austrię i Sudety, ale która nie była dostatecznym ekwiwalentem rynkowym dodatkowo krążących po kraju banknotów.

Schacht zastosował środki anty-inflacyjne: wprowadził kontrolę dewiz, o jakiej nie marzyli najbardziej pedantyczni biurokraci kajzerowscy, wprowadził „Preisstop", zakaz podwyżek cen. Ale wszystko to nie rozwiązywało sytuacji: banknotów było więcej niż towarów, które ludzie za te banknoty chcieli kupić. Powstała swoista, typowa dla tej przedwojennej inflacji krajów totalistycznych forma monetarna, którą można by nazwać mianem „neo-inflacji" lub może „pre-inflacji": teoretycznie biorąc wartość wewnętrzna waluty nie uległa zmianie, obiad na Weddingu berlińskim nie kosztuje drożej niż przed tym — tylko jest to inny obiad. Dewaluacja, obniżenie wartości waluty, wyklęte formalnie i zakazane, wdziera się do życia ze wszystkich stron: wdziera się w formie tłuszczu wielorybiego zamiast dawnej margaryny, w formie piasku cukrowego zamiast dawnej rafinady, w formie coraz mniejszych skrawków tortu w podmiejskich Kaffeehausach. Wdziera się przede wszystkim — w formie racjonowania konsumcji. Skoro się nie chce, by nadmierna masa banknotów zalała tamy „Preisstopu" i podniosła oficjalnie ceny wszystkich artykułów pierwszej potrzeby, pozostaje tylko jedno wyjście: trzeba przydzielać te artykuły na kartki. Dziś w Niemczech przydziela się na kartki niemal wszystko.

Trudności zaostrzył fakt jeden: Niemcy zawsze były krajem importującym surowce i środki żywnościowe. Płaciły za nie swymi, wysoko wartościowymi zresztą, wyrobami przemysłowymi. Teraz import nie tylko nie mógł się podnieść, ale musiał nawet ulec ograniczeniu. Bo zagranicą nie działają najgenialniejsze tricki magików finansowych ani najsroższe rozkazy Führera. Zboże i miedź, kawę i cynk, można dostać tylko za gotówkę, za dewizy. Na kredyt Chamberlain może dać swemu przyjacielowi Czechosłowację, ale nie da paruset tysięcy ton metali, czy paru milionów ton bawełny — tak daleko nie sięga łatwowierność szanownego anioła pokoju z parasolem. Dewiz Niemcy nie miały. Eksport można było wzmóc tylko do pewnych granic. A zapotrzebowa-

nie surowców na cele wojenne rosło z roku na rok. Pozostawało jedno: ograniczać import środków żywności i surowców konsumcyjnych. Dla zapewnienia Reichswehrze zapasów ołowiu i miedzi, rezerw zbrojeniowych i surowcowych — poczciwy Michel musiał wyrzec się swej ulubionej kawy, musiał jeść marmeladę zamiast masła, chodzić w ubraniu z sztucznych włókien zamiast dobrej wełny czy bawełny. Nie „głód surowców", nie brak kolonii, lecz zbrojenia niemieckie stały się przyczyną głodu w robotniczych dzielnicach miast niemieckich.

Schacht rozumiał niebezpieczeństwo sytuacji: chciał zawrócić w kierunku bardziej „ortodoksalnej" polityki gospodarczej. Żądał ograniczenia wydatków państwowych, które w tej chwili, kiedy aparat produkcyjny jest w pełni uruchomiony, nie mogły już wzmóc ożywienia obrotów, lecz musiały wywołać dalsze pompowanie banknotów do obiegu. Zmiany w technice finansowania wydatków, wstrzymanie emisji t. zw. „Sonderwechsli", specjalnych weksli skarbowych, emitowanych na cele zbrojeniowe, postanowione na wiosnę 1938 — było jego dziełem. Mówił o podniesieniu podatków, o zahamowaniu wyścigu zbrojeń. Ale tutaj magik finansowy stanął wobec mechanizmu, nad którym nie panował: wobec politycznego mechanizmu reżymu.

Rzesza nie ma odwrotu

Reżymom takim, jak niemiecki, nie wolno się cofać. Muszą ciągle osiągać sukcesy. Te sukcesy zaś można osiągać tylko bronią. Trzeba im więc broni. Nie mogą ograniczyć wydatków na broń. Nacisk zaś podatkowy ma swoje granice — zwłaszcza w spauperyzowanych już dziś gruntownie Niemczech. Reżym nie mógł sobie pozwolić na politykę schachtowską. Konflikt czechosłowacki i jego następstwa przekreśliły rachuby Schachta. Mobilizacja niemiecka kosztowała grube miliardy, na które nie było innego pokrycia, niż druk banknotów. Jesienna transza pożyczki, mimo szalonego nacisku, zawiodła — trzeba było dopełniać sumy, dla uniknięcia blamażu, przez subskrypcje bankowe, t.zn. przez Reichsbank. Mimo to zbrojenia trwają dalej. Zbrojenia to najrentowniejsza inwestycja — oświadczył niedawno Goebbels.

Najrentowniejsza — dla reżymu. Ale nie dla organizmu gospodarczego, dla którego Austria i Sudety są narazie tylko dodatkowym obciążeniem. Schacht próbował przeciwstawić się własnemu dziełu. Próbował „duchy, które sam wezwał" zakląć w ramy swych słusznych zastrzeżeń. Zaklęcie zawiodło. Miejsce Schachta zajął Funk.

A więc przecież bieg ku inflacji? A więc przecież — bieg ku katastrofie? I tak i nie.

Tak, jeśli idzie o proces zasadniczy, o „kres wędrówki", który kiedyś nadejdzie, nadejść musi, chyba — rzecz małoprawdopodobna — iż City zdecyduje się wpakować, oprócz terenów kolonialnych, jakich dwieście milionów funtów (po polsku: pięć miliardów złotych) w ratowanie berchtesgadeńskiego przyjaciela pana z parasolem. Ale nie, jeśli idzie o to, co ma się stać w najbliższym czasie.

Funk, niewątpliwie, jeszcze bardziej niż Schacht przekraczać będzie ramy, zakreślone ekspansji obiegu banknotów przez twarde prawa gospodarcze. Pono w przeciągu pierwszych dni swego urzędowania kazał wydrukować cztery miliardy marek nowych banknotów. Funk wyciśnie wszystko, co się da, wszystkimi możliwymi sposobami, na zbrojenia wojenne Rzeszy. Będzie to wszystko, niewątpliwie, toczyć się na krawędzi otwartej inflacji. Ale tak samo niewątpliwie Funk będzie, metodami Schachta, może jeszcze bardziej brutalnie stosowanymi, przeciwdziałał przetworzeniu się inflacji zamaskowanej i kontrolowanej, neo-inflacji typu lat 1933 — 1938, w inflację jawną i nieograniczoną, inflację typu lat 1920 — 1923. Taka inflacja byłaby zbyt groźna politycznie dla reżymu. I Funkowi, przez czas pewien, krótki w perspektywie historycznej, ale być może długi, jeśli idzie o nas, współczesnych, liczących nie na dziesięciolecia, lecz na miesiące, to opanowywanie smoka inflacji będzie się udawało.

Bo — ci, którzy prorokują rychłe załamanie gospodarcze reżymu niemieckiego, nie widzą, że od czasów inflacji typu lat 1919 — 1923 dzielą nas wynalazki schachtowskiego systemu. Trzymają się — inna rzecz, jakim, a przede wszystkim czyim, kosztem — systemy gospodarcze o wiele słabsze — choćby reżym Mussoliniego, w niewiarygodny wprost sposób wykrwawiony finansowo, a przecież „inwestujący" coraz nowe miliardy lirów w tanki, samoloty i okręty wojenne, czy reżym soldateski japońskiej, która zrujnowała całe życie gospodarcze kraju, ale prowadzi nadal awanturę w skali kontynentalnej. Co więcej, zaczyna nawet nowe awantury. Skomplikowany system autarkii, ograniczeń dewizowych, wygładzania własnego ludu — pozwala przez czas pewien przetrwać trudności gospodarcze. Prawda, że tylko przez pewien czas.

Ale, kiedy ten czas mija, wtedy reżymy tego typu nie kapitulują wobec konieczności gospodarczych, jak to wciąż jeszcze naiwnie sądzą panowie z banków światowych. Wtedy te reżymy próbują wymusić szantażem ustępstwa gospodarcze, wywalczyć sobie nową chwilę wytchnienia, wydusić od konkurentów jeszcze paręset miliardów. A kiedy widzą, że i to zawodzi — pozostaje jeszcze zawsze droga Wielkiej Awantury. I napewno nie cofnie ich z tej drogi strach przed trudnościami finansowymi, jakie im na tej drodze zagrażają. Cofnąć je może rzecz jedna jedyna: strach przed zjednoczoną siłą wszystkich, którzy są zagrożeni ich awanturnictwem. Cofnąć je może zorganizowana siła. Wtedy dopiero — i tylko wtedy — ekspansja zewnętrzna ulegnie zahamowaniu przez światową koalicję sił pokojowych, przyjdzie chwila, kiedy utajone dziś i steroryzowane Niemcy demokratyczne będą mogły zabrać głos. Wtedy przyjdzie „wielki Kladderadatsch".

Zamiana Schachta na Funka nie wieści jeszcze katastrofy finansowej totalizmów. Katastrofa ta przyjdzie wówczas, kiedy Paryż, Londyn i Waszyngton, kiedy wszystkie ośrodki pokojowe Europy Wschodniej i Środkowej zostaną sprzęgnięte, po przegnaniu Bonnetów i Chamberlainów, w jeden system obrony pokoju. W przeciwnym razie — zamiast katastrofy gospodarki wojennej Rzeszy nadciągnie europejska nawałnica nowej wojny światowej.

ROMAN LANG.

PRAWDZIWYM PRZYJACIELEM „EPOKI" JEST TEN, KTO POZYSKAŁ DLA PISMA JEDNEGO PRZYNAJMNIEJ PRENUMERATORA.

Dekada polityczna

Trudności Monachium Śródziemnomorskiego.

Ostatnie dziesięć dni nie przyniosły nam zasadniczej zmiany w sytuacji międzynarodowej. Nadal trwa, choć może nieco stuszowany, napór osi na mocarstwa zachodnie. Nadal trwa wewnątrz tych mocarstw walka stronnictw oporu i kapitulacji. Jeśli mówić można o przesunięciach, to dokonało się pewne drobne przesunięcie sił i nastrojów, które wzmocniło nieco pozycję stronnictwa oporu. Z kolei wzmocniło to pozycję mocarstw zachodnich w świecie i nieco pohamowało zapędy wojenne osi. Czynnikiem decydującym była tu nadal postawa Stanów Zjednoczonych. Ale nie oznacza to bynajmniej, by obóz monachijski zrezygnował ze swych dążeń i celów. Przeciwnie, nici dzierzgane pomiędzy Paryżem i Berlinem, Rzymem i Londynem, Paryżem i Rzymem stają się coraz gęstsze i ośmielają dyktatorów do stawiania nowych pretensji. Polityka monachijskiej kapitulacji nie przestaje grozić pokojowi świata.

Przed Conclave.

Zgon „Białego Starca" z Watykanu pogrążył w żałobie niemal świat cały: nie tylko wierni kościoła katolickiego, ale laicy z przekonań jak Herriot, ale protestanci i dyssydenci, stali w żałobie u trumny tego, który zaczął swe panowanie od traktatu laterańskiego a skończył na encyklice „Mit brennender Sorge". Ale życie ma swoje prawa. Pius XI. już spoczął w grobie, a myśli świata zwracają się ku osobie jego następncy.

Oczywiście, koła kościelne tłumaczą, że osoba nowego papieża jest nie istotna, że każdy elekt będzie musiał prowadzić jedną jedyną politykę: politykę Kościoła. Jest w tym niewątpliwie sporo prawdy. Ale koła polityczne zdają sobie sprawę z faktu, że istnieje, mimo wszystko, kilka możliwych odcieni tej jednej i jedynej polityki i wiedzą, że od tego, który z tych odcieni zwycięży na Conclave, zależy bardzo wiele dla świata i kościoła. I na Conclave zetrą się zwolennicy „nowych prądów" rzymsko-katolickich z reprezentantami innego, zachodniego ducha. Znani już są czołowi przedstawiciele obu prądów, znane są hasła, z którymi wystąpią.

Oś usiłuje — Berlin w zwykłej, brutalnej formie hitlerowskiej pogróżki, Rzym w formie ostrożniejszej, spokojnej, perswazji—uzyskać wybór papieża „apolitycznego". Pastor Angelicus z proroctwa św. Malachiasza bardzo odpowiada jej celom. Chodzi o papieża nie z tego świata, papieża, któryby milczał wobec wszystkich zbrodni osi, poświęcając się wyłącznie administracyjnym funkcjom Kościoła. Natrętnie, może nawet zbyt natrętnie, forsuje się kardynałów Lavitrano i Da Costa. Ale, zdaje się, w rezerwie trzyma oś trzeciego kandydata, kardynała Schustera z Mediolanu. Obóz drugi, to duchowi spadkobiercy Piusa XI. Ci, którzy uważają, że miejsce Kościoła jest po stronie humanizmu i pokoju. Ich przedstawicielem jest najbliższy współpracownik zmarłego Papieża, Kardynał Pacelli, przeciwko wyborowi którego już zgłosił brutalnie swe veto organ min. Ciano. Obok niego stoją kardynałowie zagraniczni, Mundelein z Chicago, przyjaciel Roosevelta, i kardynał Verdier.

Jak rozstrzygnie Conclave? Włosi liczą w nim 35 na 62 głosów. Ale spośród Włochów dwudziestu siedmiu to kardynałowie Kurii, obywatele Państwa Watykańskiego, niezależni od rządu włoskiego. Prawdopodobnie nie przejdzie żaden z czołowych przedstawicieli obu stron. Sądząc według głosów prasy, największe szanse ma któryś z umiarkowanych zwolenników kierunku kardynała Paccelliego. Wiele przemawia za tym, że oś nie będzie miała pociechy z Conclave.

Pan Bonnet handluje Francją.

Wiadomo już dzisiaj, z jakimi propozycjami pojechał do Rzymu przyjaciel p. Bonneta, p. Boudoin, a do Berlina drugi jego przyjaciel, p. De Brinon. Zaoferowali oni: kolej z Addis Abeby do Dżibutti, wolny port w Dżibutti, miejsce w Radzie Nadzorczej Kanału Suezkiego, i statut w Tunisie, pozwalający emigrantom włoskim na zachowanie przez czas nieograniczony obywatelstwa włoskiego (p. Laval w 1935 r. przyznał im to prawo tylko na lat 30). Niektórzy mówią również o pewnych „korekturach" granic w Afryce. Nie wiadomo natomiast, co na to odpowiedziała oś. Zdaje się, uważa te ustępstwa za zbyt skromne, a sam fakt ich zaoferowania za dowód słabości, uprawniający ją do tym śmielszego stawiania żądań dalszych. Niewątpliwie, to stanowisko osi sprawia poważny kłopot p. Bonnetowi i p. Chamberlainowi, którym niezwykle się śpieszy do możliwie szybkiego dogadania się z osią.

Nic dziwnego, że im się śpieszy. Każdy dzień bowiem, który upływa, wykazuje dobitnie całą fałszywość ich polityki, każdy dzień przynosi nowe fakty, świadczące o wzmocnieniu sił oporu, stawia nowe przeszkody na drodze do kapitulacji.

Sztab francuski przeciw p. Bonnetowi.

Pan Bonnet ma szczególnie duże kłopoty. Robi wprawdzie co może, by zadowolić swych przyjaciół w Rzymie i Berlinie. Nie wydalił z Francji ani jednego z korespondentów włoskich, systematycznie i codzień opluwających Francję, chociaż Mussolini wydala raz poraz korespondentów prawicowej prasy francuskiej, starych swych wielbicieli i filofaszystów. Wprawdzie napadł ordynarnie na p. Tabouis za wiadomość o zarządzeniach mobilizacyjnych niemieckich, którą tego samego dnia potwierdził taki niewątpliwy prawicowiec i reakcjonista jak p. Louis Marin. Ale wysiłki p. Bonneta krzyżuje ktoś inny, wobec kogo nawet on jest bezsilny.

Oto w Alzacji aresztowano niejakiego p. Roosa, przywódcę autonomistów alzackich (tak nazywa się organizacja irredenty niemieckiej w Alzacji). Aresztowany znajduje się w sądzie wojskowym w Nancy. Co wiącej, w związku z tym aresztowano w Paryżu jednego z wybitnych niemieckich korespondentów prasowych, a kilkunastu innych wydalono natychmiast z Francji. Ambasador niemiecki p. Welczek napróżno skarżył się druhowi Bonnetowi. Deuxième Bureau nie cofa swych zarządzeń.

Podobnie p. Bonnet dał listy polecające korespondentowi „Frankfurter Zeitung", udającemu się do Tunisu. Polecił go jaknajgoręcej rezydentowi Francji w Tunisie i szefowi prasowemu rezydencji. Ale korespondent niemiecki nie zdążył przedstawić swych poleceń odnośnym władzom. Na lotnisku oczeki-

wała go żandarmeria wojskowa i poprosiła grzecznie o natychmiastowy powrót do Paryża. Oddziały wojskowe w Tunisie nie podlegają władzy p. Bonneta.

Być może, właśnie to „zaufanie", jakim obdarza ministra spraw zagranicznych sztab generalny francuski, sprawiło, że nareszcie uderzył weń wręcz reakcjonista najczystszej wody, ale w każdym razie nie agent Berlinternu, wódz prawicy francuskiej, p. Louis Marin. Atak jego, ogłoszony w oficjalnym organie frakcji parlamentarnej prawicy, nie różni się niczym od wywodów de Kerillis'a czy Burè. Pytanie tylko, czy pójdą za nim czyny: wotum nieufności, zgłoszone w parlamencie przez frakcję Marin'a. Wotum takie, poparte przez całą lewicę i poważną część radykałów, musiałoby obalić przynajmniej jednego z koryfeuszów kapitulacji.

Przekreślone rachuby hiszpańskie.

Do osłabienia sytuacji Bonneta przyczynia się niewątpliwie w dużym stopniu wynik rozgrywki hiszpańskiej. Wskazaliśmy w poprzedniej dekadzie na rachuby reakcji angielsko - francuskiej, liczącej na przekupienie gen. Franco. Wskazaliśmy również, odrazu, na utopijność tych rachub. Przebieg wypadków potwierdza naszą ocenę.

Gen Franco nie chce iść po drodze „ugody", na którą ciągną go jego londyńscy i paryscy sympatycy. Możeby zresztą chciał, ale — nie może. Zbyt mocno trzymają go w garści dawni przyjaciele i ich mężowie zaufania, siedzący we wszystkich kluczowych pozycjach reżymu. Gen. Franco idzie po drodze najostrzejszych represji.

Lewicowa prasa francuska podaje, że w pierwszych dniach obsadzenia Barcelony wojska włoskie i mauretańskie straciły tam około trzech tysięcy ludzi. Ale nawet jeśli przyjąć te informacje za wyolbrzymione przez pogłoski i panikę, nawet jeśli trzymać się tylko oficjalnej wersji frankistowskiej to i tak staje się jasne, że obóz rebelii dąży do utrzymania kraju w stanie permanentnej wojny domowej. Wśród skazanych na śmierć — już oficjalnie, w obecności korespondentów prasy zagranicznej — znajdują się delegaci fabryczni, przewodniczący związków zawodowych i t. d., ludzie, którym nawet sąd rebelii nie potrafił zarzucić niczego, poza działalnością polityczną. Nowy dekret okupantów zakazuje używania mowy katalońskiej jako drugiego języka urzędowego na terenie całej Katalonii. Wszyscy urzędnicy dawnego autonomicznego aparatu Katalonii, kilkanaście tysięcy ludzi, zostało wyrzuconych na bruk. Wreszcie nowa ustawa „o odpowiedzialności politycznej" daje prawo sądom frankistowskim skazania każdego, komu udowodnią, że był kiedykolwiek, w czasie rebelii, czy nawet przed jej wybuchem, członkiem którejkolwiek z rozwiązanych partii republikańskich, także, powiedzmy, umiarkowanych republikanów Barrio, na karę więzienia, pracy przymusowej lub zesłania do kolonii na lat piętnaście. Rzecz jasna, że realizując taką politykę, Franco musi powiększać coraz bardziej przepaść jaka dzieli go od narodu, nie może zwolnić gwardii włosko - niemieckich pretorianów, chroniących go przed jego gniewem.

Toteż na zaloty Paryża i Londynu Franco odpowiedział jeszcze mocniejszym zaakcentowaniem swej wierności osi. Wysłał odręczne, hołdownicze listy do Hitlera i Mussoliniego. Prasa frankistowska atakuje Francję dokładnie w takt pałeczki p. Gaydy z Rzymu. Wszelkim propozycjom „ugodowym" francusko-angielskim Franco przeciwstawia uparte „nie". Nowym premierem hiszpańskiego Mandżu-Kuo ma zostać p. Serrano Suner, gorący wielbiciel totalizmów i szef Falangi. W Paryżu i Londynie panuje, niezręcznie maskowany „kociokwik" a prasa włoska może oświadczać z zadowoleniem: „Legioniści włoscy pójdą sobie z Hiszpanii, kiedy zażąda tego gen. Franco". Wie ona dobrze, że Franco tego — nie zażąda.

Zato Franco zaczyna żądać — czego innego. Policja brytyjska w Gibraltarze musiała już pałkami rozpędzać demonstrantów frankistowskich, krzyczących obok „Niech żyje Franco!" i „Arriba Espana!" także „Śmierć Anglii" a szeroko rozpowszechniona „Deutsche Allgemeine Zeitung" już tak sobie zaczyna pisać o tym, że właściwie Baskowie i Katalończycy, mieszkający po stronie francuskiej, to również Hiszpanie, że Perpignan to właściwie hiszpańskie miasto.

Nic dziwnego, że niejeden polityk francuski i angielski, nawet niezbyt kochający lewicę i socjalizm, zaczyna znowu spoglądać w stronę Madrytu i Walencji, gdzie gen. Miaja i premier Negrin trwają w walce, poparci jednomyślnie przez wszystkie organizacje masowe obozu republikańskiego. Grupa francusko - hiszpańska w parlamencie francuskim, utworzona w ostatnich dniach przez zwolenników Republiki, liczy już ponad trzystu członków, a więc efektywną większość parlamentu. Co również nie przyczynia się do ułatwienia pozycji p. Bonneta.

Ameryka prze naprzód.

Nasze ajencje telegraficzne, tak skwapliwie podające wiadomości o każdym wystąpieniu filo - hitlerowskim jakiegoś senatora amerykańskiego, dziwnie przemilczały fakt o wiele poważniejszy: głosowanie w Izbie Reprezentantów nad programem zbrojeniowym prezydenta Roosevelta. Po wielkiej kampanii w sprawie dostaw dla Francji, głosowanie to stało się próbą sił dwóch obozów: obozu poparcia mocarstw zachodnich i obozu izolacjonistów, popieranych przez zwolenników Berlinternu. Wynik głosowania: trzysta pięćdziesiąt głosów za Rooseveltem, piętnaście przeciw. Oznacza to po prostu: cały naród amerykański, z wyjątkiem garstki najemników, czy reakcyjnych zaślepieńców, popiera politykę zagraniczną prezydenta.

Toteż dyplomacja amerykańska pracuje pełną parą. Wiadomo już, że ambasador w Londynie Kennedy, natychmiast po powrocie z Waszyngtonu, w rozmowach z ministrem Halifaxem i premierem Chamberlainem, dał wyraz dobitny niechęci Stanów do jakiegokolwiek nowego Monachium.

Te poufałe oświadczenia ambasadora uzupełnione zostały jawnym już przemówieniem senatora Pittmana, przewodniczącego komisji spraw zagranicznych Senatu, a więc jednego z miarodajnych przedstawicieli polityki zagranicznej Stanów. W publicznym przemówieniu wypowiedział on się ostro przeciw chamberlainowskiej polityce ustępstw, stwierdzając, że w ostatecznym swym rezultacie nie zapobiegła ona naprężeniu wojennemu, a jedynie wzmocniła siły osi totalistycznej. W dzień później ambasador Stanów w Paryżu interweniował u p. Bonneta, doradzając nieuznawanie rządu gen. Franco.

Wiadomo, co ważniejsza, że Stany Zjednoczone uzbrajają wszystkich, którzy chcą się bronić przeciw agresjom osi. Nie tylko Anglia i Francja poczyniły w ostatnich tygodniach poważne, nowe zamówienia samolotów w Stanach. Takie same zamówienia poczyniły — na szczególnie korzystnych warunkach kredytowych — rząd Australii i zarząd wojskowy Indii holenderskich.

W najbliższym czasie udaje się do Stanów misja wojskowa sowiecka z admirałem Isakowym na czele. Chodzi podobno o zamówienie na statki wojenne. Za to z prasy osi ani na chwilę nie znikają skargi na złośliwą politykę Waszyngtonu.

Japonia szuka zaczepki.

Do aktywności dyplomacji amerykańskiej przyczynia się niewątpliwie fakt, że Japonia korzysta w pełni z operacji swych przyjaciół w „trójkącie". Obsadzenie wyspy Hainan, panującej nad Hongkongiem i Zatoką Indochińską, dokonane właśnie w chwili, gdy wojska gen. Franco zajmowały, przy czynnej pomocy floty brytyjskiej, Minorkę, mocno zdenerwowało zarówno Wallstreet, jak City. Do zdenerwowania tego przyczyniły się komentarze prasy japońskiej, w której znalazły się nie tylko wzmianki o Hongkongu, ale aluzje do Indii Holenderskich, głównego skarbu Royal Dutch. Nawet Times mówi o sankcjach gospodarczych i zdławieniu przy ich pomocy Japonii.

By uspokoić władców trustów światowych, Japonia zaczęła szukać zaczepki również i na innym, bardziej dla nich przyjemnym odcinku: na granicy sowieckiej. Konflikt o prawo rybołówstwa na wodach sowieckich, przeciągający się oddawna, uległ dużemu zaostrzeniu w ostatnich dniach. Przynajmniej zaostrzeniu słownemu. Japończycy grożą ostrymi zarządzeniami.

Należy się jednak spodziewać, że na razie nic nie będzie z tych gróźb. Bodaj, czy złudzą one nawet następców p. Deterdinga. Tak się jakoś składa dotąd, że przedstawiciele paktu anty - kominternowskiego wolą zwalczać ...„komunistyczne" wpływy Anglii i Francji, niż pchać się na tereny sowieckie. Niewątpliwie jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest fakt, że nie wszędzie symbolem polityki jest parasol.

Włoch i Niemcy mobilizują.

Oś woli na razie próbować elastyczności parasola. W chwili obecnej dokonywa się, po cichu, ale zupełnie wyraźnie, częściowa mobilizacja włosko - niemiecka. Zarządzenia o przymusowej służbie pracy, ogłoszone przez Goeringa, zarządzenia przygotowawcze we Włoszech, koncentracja wojsk nie tylko włoskich, ale i niemieckich w Libii, nad granicą Tunisu, masowe powołania pod broń rezerwistów, podróż marszałka Badoglio do Libii — wszystko to są przejawy nowego, na dużą skalę podjętego szantażu wojennego.

Podkreślamy wyraźnie: szantażu. Bo, trzeba to powtarzać wciąż, oś nie jest gotowa do wojny, oś nie jest zdolna do wojny. Oś umie tylko wojować i zwyciężać, kiedy jej przeciwnicy są bezbronni — jak w Abisynii, a ostatnio w Katalonii. Ale szantaż wojenny osi jest potrzebny jej zagranicznym przyjaciołom, by wskazując na groźne niebezpieczeństwo, wydusić dla niej ustępstwa.

Szantaż rozwija się. Jak dotąd mocarstwa Zachodu nie stosują jedynej odpowiedzi, która mogłaby podziałać piorunująco: kontr-zarządzeń. Wiadomo, że sztab francuski domaga się również powołania rezerwistów. Ale Bonnet i Daladier sprzeciwiają się temu. Sztab francuski przeforsował jedynie znaczne wzmocnienie garnizonu w Dżibutti i zapowiedź wielkich manewrów floty francuskiej na Morzu Śródziemnym na początek marca, właśnie wtedy, kiedy oś prawdopodobnie przystąpi do najintensywniejszej akcji. Ale i to nawet wywołuje niezadowolenie w Berlinie i Rzymie.

Manewry Chamberlaina.

Pod naciskiem Stanów z jednej, brytyjskiej opinii publicznej z drugiej strony, Mr. Chamberlain zmuszony jest do ustawicznego manewrowania. Musi okazywać nieustępliwość, jeśli chce utrzymać się przy władzy i móc skapitulować przed osią w decydującej chwili. Na razie więc p. Chamberlain występuje mocno.

Po deklaracji solidarności z Francją, przyszło ogłoszenie programu zbrojeń brytyjskich. Blisko sześćset milionów funtów, prawie dwieście milionów funtów więcej niż w roku poprzednim wyda Anglia na zbrojenia w przyszłym roku budżetowym. Są to sumy olbrzymie. Pamiętajmy, że sto milionów funtów, to już ponad dwa i pół miliarda złotych, więcej niż cały budżet roczny Rzeczypospolitej.

Nie dość na tym: społeczeństwo żąda czynów. P. Chamberlain musiał dlatego zarządzić np. demarche w Rzymie w sprawie koncentracji wojsk włoskich w Libii, znajdującej się w formalnej sprzeczności z porozumieniem włosko - angielskim. Stąd — mocne słowa pod adresem Niemiec i wysłanie do Berlina na pertraktacje właśnie Hudsona i Stanley'a, znanych z niechętnego stosunku do polityki monachijskiej. Stąd wreszcie uprzejme słowa pod adresem Sowietów, obecność Halifaxa, wraz z Winstonem Churchillem na obiedzie u Majskiego, zapowiedź podróży Hudsona do Moskwy.

Błędem byłoby jednak mniemać, że te kliki wielko - finansowe, których przedstawicielami są Chamberlain i Bonnet, gotowe będą do walki z chwilą, kiedy będzie szło o interesy całości Imperium, choćby nawet kapitulacja miała odbić się szkodliwie na ich własnych interesach. Nie, pp. Bonnet i Chamberlain już zdradzali interesy całości Imperium Brytyjskiego i Francuskiego. Zdradzili je w Monachium, zdradzili w Hiszpanii, zdradzają w tej chwili w pertraktacjach z Włochami. Chodzi o coś innego: jak długo będą mogli je zdradzać. Niewątpliwie, im jawniej je zdradzają, tym bardziej rośnie opór, tym łatwiej przedstawiciele innych grup wielkokapitalistycznych, nie zainteresowanych w kapitulacji, będą skłonni do wspólnego z demokratyczną lewicą obalenia przedstawicieli koncepcji filoberlinternowskich. Nie w przebudzeniu sumienia patriotycznego pp. Chamberlainów, ale w porozumieniu nie shitleryzowanych do reszty przedstawicieli prawicy społecznej ze zdrową, nie naruszoną niby-pacyfistycznym monachizmem, lewicą — spoczywa nadzieja zasadniczej zmiany na lepsze w sytuacji międzynarodowej.

Opór nad Dunajem.

Zmieniony nieco klimat polityczny na Zachodzie znajduje odrazu oddźwięk na terenach, objętych zasięgiem Berlina. Zmiany w Jugosławii omówiliśmy już w poprzednim numerze „Epoki". Trzeba teraz zanotować upadek rządu Imredy'ego na Węgrzech. Tragikomiczna historia twórcy zaostrzonych ustaw antysemickich, o wyraźnym charakterze rasistowskim, który nagle odkrył w swych żyłach krew przodka stu-procentowego Żyda, ochrzczonego w r. 1815, tai o wiele poważniejszą treść. Tą treścią jest osłabienie pozycji Niemiec na Węgrzech.
Wiele czynników złożyło się na tę porażkę Rzeszy. Jedną z przyczyn była niewątpliwie niechęć starej reakcji feudalnej do haseł reformy

DO PRZYJACIÓŁ „EPOKI".

Prosimy o podanie nam adresów osób, którym należy przesłać numery okazowe „EPOKI".

agrarnej, głoszonych przez Imredy'ego. Ale było wiele przyczyn innych, bardziej zasługujących na przypomnienie. Należy tu przede wszystkim niesłychane rozzuchwalenie hitlerowców niemieckich. Zalegalizowane przez Imredy'ego organizacje hitlerowskie jawnie głosiły przyłączenie niektórych miast węgierskich do Rzeszy, bojkotowały Niemców, żeniących się z Węgierkami. Zuchwalstwo dochodziło do tego, że np. wyrzucano Węgrów z zabaw, urządzanych przez Niemców. Bardzo szerokie koła społeczeństwa węgierskiego poczuły się poważnie zagrożone nagłą ekspansją niemiecką.

Nowy rząd Telekiego, to rząd starej reakcji. Boi się on reformy rolnej i to osłabia go wobec naporu agentur berlinternowskich. Na razie jednak poczynił już pewne bardzo ciekawe odkrycie: oto zamach na synagogę w Budapeszcie, który wywołał dość duże poruszenie w społeczeństwie węgierskim, został zorganizowany do spółki przez grupę jawnych berlinternowców Szalassy'ego wraz z młodzieżą nowego „ruchu", organizowanego przez premiera Imredy'ego. Wystarczyło kilku godzin, które upłynęły od ustąpienia premiera, by się o tym przekonać i aresztować sprawców. Ciekawe doprawdy, jak jednakowe są metody działania Berlinternu w najrozmaitszych krajach Europy!

Praga wciąż pod naciskiem. Lekka zmiana klimatu europejskiego dała się również odczuć i w Pradze. Opór, stawiany przez rząd czeski, niewiadomo czy z własnej woli, czy ze strachu przed społeczeństwem, wobec pretensji niemieckich, raczej nieco się wzmocnił, sądząc po głosach prasy niemieckiej. Mimo nacisku Berlina, pozostał w rządzie gen. Syrovy, podejrzany o francusko-sowieckie sympatie. Ustąpił za to szef sztabu, gen. Krejczi, wychowanek St. Cyr. Pan Kundt, przedstawiciel Führera na Pragę skarży się na niedostateczne uwzględnienie żądań niemieckich. W drodze represji, szturmowcy niemieccy przeszli grupami granicę koło Morawskiej Ostrawy i urządzili w mieście pogrom Żydów (nasza prasa berlinternowska podała to jako dowód wzrostu antysemityzmu w Czechosłowacji). Prasa czeska dosyć uważnie śledzi wypadki zagraniczne, rejestrując skwapliwie każdą możliwość poważniejszej zmiany. Zdaje się, że i pewna poprawa stosunków polsko-czeskich w znacznym stopniu nastąpiła wbrew woli Berlina.

Niema się jednak czego łudzić: w sytuacji obecnej w Pradze rządzi i rządzić będzie Berlin. Trzebaby bardzo poważnych przesunięć w ogólnoeuropejskiej skali, by w Pradze mógł znów dojść do głosu naród czeski.

92% księdza Wołoszyna Wybory zakarpackie są już za nami. Stały się one dowodem zaiste rewelacyjnych przemian w społeczeństwie Zakarpacia. Znikli socjaliści, komuniści, demokraci, czescy nacjonaliści, sjoniści, Madziarzy, „ruscy", — znikły wszystkie stronnictwa, które jeszcze w zeszłym roku zebrały ponad 96% oddanych głosów. Reprezentowane przez ks. Wołoszyna stronnictwo faszystów ukraińskich, które przed rokiem zebrało mniej niż 4% głosów — otrzymało ponad 92% oddanych głosów, przy frekwencji wyborczej ponad 92%. Jest to jeszcze wprawdzie mniej niż we Włoszech czy w Niemczech, ale wcale dużo. Doprawdy pojętny uczeń z ks. Wołoszyna. Co do wartości tych głosów zdania są podzielone. Najlepiej określiła ją prasa niemiecka. Odpowiadając na głosy węgierskie, kwestionujące wartość tych wyborów ze względu na brak swobody agitacji, stawiania kandydatów itd., wskazała, że i włoska i niemiecka ordynacja wyborcza oparta jest na tych samych zasadach. Rzeczywiście, jednomyślność zakarpacka jest warta mniej więcej tyle co jednomyślność niemiecka i włoska. Co polecamy szczególnej uwadze polskich przeciwników ks. Wołoszyna a gorących sympatyków Berlina i Rzymu.

O przestępczości wśród nieletnich

Przestępczość wśród nieletnich wzrasta.

W latach 1932 — 34 przewinęło się przez Sąd dla nieletnich w Warszawie około 1000 oskarżonych, w roku 1938 liczba przekroczyła 2000.

Mimo ulepszania metod zwalczania przestępczości, wprowadzenia policji kobiecej, zwiększenia liczby zakładów poprawczych, przestępczość wśród nieletnich z roku na rok wzrasta. Albowiem zwalczanie skutków, gdy nie usuwa się przyczyny, nie może dać dobrych wyników.

Zasadniczą przyczyną przestępczości wśród nieletnich są nienormalne warunki, w jakich dziecko proletariackie rośnie i dojrzewa. Stąd wypływa cały szereg przyczyn bezpośrednich.

Większość dzieci proletariackich jest pozbawiona opieki rodzicielskiej niemal od chwili urodzenia. Matka bądź to całkowicie utrzymuje dom, bądź pomaga mężowi w utrzymywaniu rodziny. Zło nie leży, oczywiście, w tym, że kobieta pracuje zawodowo, tylko w tym, że brak instytucji, dostosowanych do każdego wieku, gdzie dziecko znalazłoby opiekę przez czas zajęcia matki poza domem. Dziś kobieta-robotnica łatwiej znajduje zarobek, niż mężczyzna. W fabryce jest tańszym, a wcale nie gorszym pracownikiem, pozatem stoi przed nią otworem szeroka dziedzina gospodarstwa domowego: posługę i pranie zawsze znaleźć można. W najgorszym razie kobieta prędzej, niż mężczyzna chwyta „koszyczek", jako handlarka uliczna.

Ojciec pracuje dorywczo lub szuka pracy, matka biega po praniach, czy posługach, — dziecko zostaje samo.

Dogląda go o niewiele lat starsza siostra, czy brat, często zamyka się je w domu i tylko sąsiadka wpada, by je nakarmić. A gdy już samodzielnie może się utrzymać na nogach, zostawia się je na podwórku, skąd za rok, dwa lub trzy samo już wyjdzie na ulicę. Z ulicy—w niewielu tylko wypadkach wraca do uporządkowanego życia, do nauki, przygotowywania się do zawodu i uczciwego sposobu zarabiania na życie. W większości wypadków wykoleja się i schodzi na drogę przestępstwa. Właściwiej należałoby powiedzieć: „zepchnięto je na drogę przestępstwa".

Utarło się w pewnych sferach zdanie, że dziecko robotnicze rodzi się niejako predystynowane do przestępstwa. Tymczasem jak najdokładniejsze badania wykazały, że w 85 wypadkach na 100, przyczyny demora-

lizacji dziecka leżą w warunkach zewnętrznych, a w 15 wypadkach przyczyn należy szukać w samym dziecku, w chorobach, obciążeniach itd. Trudno ustalić jaki jest procent t. zw. „przestępczych" dzieci wśród sfer posiadających. Ludzie ustosunkowani umieją sobie radzić bez sądu dla nieletnich, więc „wyczyny" dzieci z górnych sfer dochodzą w minimalnej ilości do wiadomości ogółu. Robotnicze dziecko usuwa się bezwzględnie ze szkoły, skoro się je przyłapie na kradzieży. Wydalenie to jest jakby zwaleniem ostatniej zapory, chroniącej dziecko przed zupełnym wykolejeniem. Znika nawet ta kilkugodzinna opieka. Przepada na zawsze możność uczenia się. Inne szkoły powszechne bronią się przed przyjęciem napiętnowanego ucznia. Oczywiście przyczyn szybkiego pozbywania się trudniejszego elementu przez szkołę nie należy szukać wśród nauczycielstwa. Leżą one dalej, czy głębiej poza tym człowiekiem, którego widzimy: nauczycielem, czy kierownikiem. Za mało szkół, za dużo dzieci w klasie, brak należytej selekcji, niemożność indywidualizowania, przeciążenie pracą.

W aktach Sądu dla nieletnich znajdziemy sprawy 8 i 9-letnich, usuniętych ze szkoły za kradzież książki, pióra wiecznego, kilku złotych, butów, znajdziemy sprawę 10-letniej dziewczynki, która przyniosła ze szkoły palto dla młodszej siostry, twierdząc, że dostała je na Gwiazdkę. Zbliżało się Boże Narodzenie i Jasia chciała, by w domu był pogodny nastrój. Jej opuszczona przez męża i chorowita matka była stale zmartwiona i zatroskana, nie mogąc związać końca z końcem. Najbliższą troska była niemożność sprawienia młodszej córce ciepłej odzieży na zimę.

W pobudki czynu Jasi nikt nie wglądał. Szkoła jest przeciążona i szkoła usuwa przeszkody w pracy. Jasię wydalono.

Wspomnieliśmy wyżej, że dziecko proletariackie demoralizuje się na ulicy. A tak się warunki złożyły, że ulica stała się ucieczką dla dziecka robotniczego. Na ulicy szuka rozrywek, „zażywa powietrza", ucieka z przeludnionego mieszkania, od zdenerwowanych i przemęczonych rodziców, na ulicy nawiązuje przyjaźnie, szuka zarobku — podgląda życie.

W halach, bazarach, na placach targowych wałęsają się gromady chłopaków w różnym wieku. Czasem coś pomogą, przyniosą czy podadzą i zarobią parę groszy, przeważnie jednak kradną. Są to pierwsze, bardzo jeszcze naiwne kradzieże. Chwycą coś ze straganu, czy fury, z głodu czy psoty. Potem jednak zjawia się ktoś starszy i bierze w karby. Akcja staje się planowa. Rozdziela się role. Nowicjusz służy na razie jako „świeca". Pilnuje, gdy inni kradną. Z czasem awansuje na bardziej aktywnego członka gromady. Silniejsza indywidualność wyłamuje się szybko z pod władzy opiekuna i przeniósłszy się na inny teren, sama zakłada gromadę.

Beztroskie życie na ulicy jest bujniejsze i bardziej interesujące od siedzenia w domu, w którym właściwie dla dziecka nie ma miejsca. W jednej izbie mieszkają dwie i trzy rodziny. W każdej rodzinie są dzieci. Każda rodzina musi gotować, prać, prasować. Wszyscy są podenerwowani i przyczynę zła widzą w tym najbliżej stojącym. Ten winien kto zajmuje miejsce przy kuchni, na tego najłatwiej się wyzłościć. Kto by tam szukał dalszych przyczyn i sił, które spędziły kilkanaście osób do jednej ciasnej izby? Więc do ciasnoty dołączają się (chwilowe coprawda i powierzchowne) sprzeczki dorosłych. A wśród tego wszystkiego plączą się dzieci, dzieci wszędzie, dzieci swoje i cudze.

Bywa i tak, że ojciec lub matka są w domu i teoretycznie istnieje możliwość opiekowania się dzieckiem, praktycznie jednak możliwości te nie istnieją wcale. Dorośli często są zadowoleni, gdy dziecko wyjdzie z domu, gdy nie zawadza, gdy nie „pęta się". Dziecko wychodzi z przyjemnością z domu, gdzie nie ma dlań miejsca i gdzie nie ma co robić. Na kajet postawiono mu osmolony garnek, pudełko z cennymi drobiazgami wyciągnięto z pod łóżka i dano do zabawy młodszym dzieciom, byle je uciszyć, króliki ugotowano, gołębi gospodyni nie pozwala trzymać, czytać nie można, bo nie ma spokoju, majstrować nie wolno, bo wszystkim „głowa pęka". A na ulicy? Spotka się tego i owego, idzie „starać" się o parę groszy, a gdy się poszczęści, jest na kino i jeszcze na słodycze.

W dalszym etapie papierosy i wódka zastępują łakocie. Nie może być tu, oczywiście, mowy o jakimś wrodzonym pociągu do alkoholizmu, tkwiącym rzekomo w proletariacie. Gdyby dziecko z najwyższej sfery społecznej i w dodatku z rodziny, w której do 3-go czy 4-go pokolenia wstecz nikt nie używał alkoholu, postawiono w warunki opuszczonego dziecka proletariackiego, poszłoby ono tą samą drogą, bo innej nie ma. Tak samo kradłoby i tak samoby piło.

Dziecko zaczyna pić, by dorównać innym, by nie pozwolić sobie imponować. Nałóg jest tu objawem wtórnym, podobnie jak kradzieże. Dziecko nie wyszło na ulicę, by pić, czy kraść, tylko zaczęło pić i kraść, bo znalazło się na ulicy.

Skoro kino, papieros i wódka stały się czymś nieodzownym, nie wystarcza ściąganie owoców, czy jarzyn ze straganów. Idzie się wówczas „na ściankę" lub „na wydrę". W tłoku, w niesłusznie tak zwanych ludowych parkach, czy innych miejscach zabaw staje się blisko tej osoby, której kolega tymczasem patroszy kieszenie. Zwracając uwagę na siebie, odwraca się ją od kolegi, robi się zaporę, „ścianę". Ofiarami „wydry" są kobiety, którym wyrywa się torebki.

Demoralizacja dziecka robotniczego postępuje bardzo szybko, gdyż nie znajduje żadnej zapory. Przeciwnie, pomaga się jej, wydalając ze szkoły, czy organizacji. Nie tkwi ona jednak zbyt głęboko i w całym szeregu wypadków można stwierdzić, że bardzo na pozór zdemoralizowane dziecko, przeniesione w nieco lepsze warunki życia (bardzo jeszcze dalekie od ideału), nawraca z drogi przestępstwa. Przykładów takich możnaby przytoczyć bardzo dużo, co potwierdza zasadę, że zło nie leży w dziecku, tylko poza nim. Nie dziecko jest złe, tylko warunki. Nie dziecko jest winne, tylko ci, którzy je w złe warunki wtłaczają.

Kradzieże spotyka się częściej wśród chłopców, niż wśród dziewcząt. Dziewczynka ma mniej wolnego czasu i łatwiej znajduje zarobek, niż chłopiec. We własnym domu ma zawsze dość roboty, spotykamy 12-letnie, które dźwigają ciężar gospodarstwa domowego. Już 10-letnie idą do „pomocy pani" lub „do dziecka". Dziewczynki zarabiają prostytucją. Znajdują się wśród nich 12 — 13-letnie. Znaczna ilość nieletnich „przestępczyń" rekrutuje się ze zgwałconych dziewcząt. A procent zgwałconych dziewcząt proletariackich jest przerażający. Padają ofiarą pracodawców, współlokatorów, narzeczonych, czy przyjaciół starszych sióstr. Gwałtom dokonywanym na dziewczętach proletariackich szczególnie sprzyjają warunki mieszkaniowe. Na 12 — 15 osób w jednej izbie bywa 2 do 3 łóżek. Na jednym łóżku sypiają 3—4 osoby. Sypia się w poprzek, dostawiwszy skrzynię lub krzesła. Chłopcy razem z dziewczynkami. W wieku rozwoju i pokwitania.

Zgwałcona dziewczynka wykoleja się łatwo. Nie przedstawia już pełnej wartości. Jest „wstydem" dla ro-

dziny. Lekceważy się ją. Szuka więc rekompensaty w zabawie i strojeniu się ponad możliwości finansowe rodziny. Łatwo wchodzi w towarzystwo, gdzie się jej nie poniża, gdzie jest jak równa z równymi i jak z nią postąpiono bez skrupułów tak i ona, o zmniejszonej już i tak wartości, bez skrupułów wstępuje na drogę występku.

Bardzo poważna liczba chłopców wypacza się między 14 — 16 rokiem życia. Nawet tacy się wykolejają, których do tej pory nie pchnęły na ulicę: ostateczna nędza, czy brak opieki, czy złe mieszkanie. O tych niebezpiecznych latach: 14 — 16 wszyscy wiedzą, wciąż się o tym mówi wśród pedagogów i społeczników i krzyczy się na zjazdach, ale uchwały pozostają na papierze, a życie toczy się tak samo.

Potrzeba rozrywek jest również jednym z czynników przestępczości wśród nieletnich.

Rozrywki dziecka robotniczego są tylko namiastką rozrywek. Są jak sacharyna, która, wywołując posmak słodyczy, pozbawiona jest wszelkich odżywczych wartości cukru. Rozrywki, dostępne dla dziecka proletariackiego, nie podnoszą, ale spychają w dół. Prawdziwa sztuka, teatr i koncert są niedostępne. Wartościowe filmy są drogie i nie wędrują na peryferie miasta. Boisk i parków brak w dzielnicach robotniczych, bardzo reklamowane ogródki jordanowskie nie zaspakajają widać, potrzeb proletariackiego dziecka, gdyż frekwencja w tych ogródkach spada. Zostaje więc film, grający jedynie na zmysłach i nerwach, „Luna Parki" i „Wenecje", hazardowe gry na ulicy i na schodach. Wycieczki kosztują. Głód przygód i ciekawość dziecko robotnicze zaspakaja na własną rękę. Wyjeżdża „w świat", na gapę i utrzymuje się z żebraniny, kradzieży lub śpiewania w wagonach, na co nie ma formalnego pozwolenia.

Ważnymi czynnikami przestępczości wśród nieletnich są atmosfera domowa i kary. Dziecko wymaga troskliwości, pogody i serdeczności. A o to tak trudno w rodzinie proletariackiej, zaabsorbowanej lękiem przed redukcją, czy eksmisją, uganiającej się za zarobkiem, wystającej po Opiekach i Komitetach, zamartwionej, zgonionej, oszukanej. Rodzice proletariaccy kochają swoje dzieci napewno nie mniej od rodziców z górnych sfer, ale nie mają czasu, by im miłość okazywać, nie mają cierpliwości, by się z nimi pieścić, bo muszą biegać po mieście, liczyć, kombinować, walczyć. Pragną, by dzieci wydostały się z piekła nizin, w którym sami tkwią, by wzniosły się choć o szczebel wyżej. Nawet ojciec, zawodowy złodziej, bije syna za kradzież, nie chce by syn wyrósł na złodzieja. Ze swego życia można zrezygnować, ale z życia dziecka nikt rezygnować nie chce.

Od smutków, skarg i atmosfery przygnębienia dziecko ucieka — na ulicę. Ucieka przed karą, bo kary bywają srogie, często nieludzkie. Czy naprawdę są one wynikiem „niskiego poziomu umysłowego", czy „moralnego", są wyrazem „zdziczenia"? Nic podobnego. Są wyrazem braku cierpliwości ludzi przemęczonych. Na skórze dziecka robotniczego odbija zdenerwowany i zmęczony nieustanną walką ojciec swoje troski i zawody, brak pracy, światowy kryzys, wszystkie machinacje złych sił świata.

Pije — bo to najłatwiejsza metoda. Choć on lub żona słuchają nieraz nawet wykładów o tym, jak należy postępować z dziećmi. Ale na tamte mądre i napewno skuteczne metody, trzeba mieć czas i pieniądze. (Gdyby się np. kupiło rower, chłopiec nie byłby go ukradł). Trzeba mieć cierpliwość i spokojną głowę. Trzeba mieć możliwości, których proletariat nie posiada.

Piękne i niewątpliwie pożyteczne wykłady dla rodziców proletariackich, urządzane staraniem różnych instytucyj na peryferiach miasta — pozostają, niestety, tylko receptą lekarza, który nędzarzowi zaleca wyjazd do Egiptu.

Musi się zmienić położenie klasy robotniczej. Muszą się zmienić warunki, w jakich dziecko proletariackie rośnie i dojrzewa. Wówczas sama przez się spadnie przestępczość wśród nieletnich.

Wszystko inne to półśrodki. Nie pomoże co raz to zwiększająca się sieć sądów dla nieletnich, ani zakładów poprawczych, ani rosnąca liczba policji kobiecej.

Błąd leży w założeniu.

ALEKSANDRA OSET-KOSEWOWA

Z dnia na dzień

NAKAZ MORALNY

Dwaj mężowie stanu Wielkiej Brytanii w czasie swej wizyty rzymskiej bezpośrednio po rozmowach z Il Duce w Pałacu Weneckim udali się na audiencję do Watykanu.

Tam z ust Piusa XI, będącego już na schyłku życia, usłyszeli takie głęboko osobiste wyznanie, mające wagę nakazu moralnego:

„Przez całe swe życie i aż do bliskiej już mej śmierci walczyłem i walczyć będę w obronie kilku umiłowanych idei: jest to obrona ducha przed siłą brutalną, obrona słabego przed napastnikiem, małych narodów przed wielkimi, wolności przed despotyzmem i prawdziwej sprawiedliwości przed gwałtem. Mnie wypadnie niedługo opuścić tę walkę... Panowie, na was spada ciężar kontynuowania tej walki. Wy musicie bronić zagrożonej cywilizacji...".

Słowa te należałoby wpisać do sztambucha: wszystkim wrogom demokracji i uzurpatorom władzy, papugom hitlerowskim, wszystkim pomniejszycielom imienia polskiego, wszystkim apologetom faszyzmu, wszystkim Stochom, Goetlom i Trzeciakom.

„ZA NASZĄ I WASZĄ NIEWOLĘ"

Pan profesor Z. Wojciechowski, endeckiego pochodzenia „kierownik prac ideologicznych" ozonowego Związku Młodej Polski (tzw. popularnie „Galinatias") takie oto znalazł, doprawdy oryginalne, umotywowanie totalizmu polskiego:

„Jeśli dopuścimy istnienie P.P.S., Piasta, czy Stronnictwa Pracy itp. (o rodzonej mamie endeckiej pan profesor wstydliwie nie wspomina) to oczywiście musimy dopuścić i istnienie reprezentacji mniejszości narodowych. Musimy dopuścić istnienie partii parlamentarnej niemieckiej, białoruskiej, ukraińskiej — żeby już nie mówić o Żydach".

Panu profesorowi włosy dęba stają. Jakto, Hryćko i Aron mają mieć własną reprezentację polityczną! Nie, lepiej już zabrać tę reprezentację ró-

wnież Jaśkom i Staszkom! Lepiej pozbawić praw polskich robotników i chłopów, niż przyznać bodaj w części te prawa Ukraińcom, Białorusinom i Żydom. Dawna demokracja polska wzywała do walki „Za wolność naszą i waszą". P. profesor Wojciechowski chce wojować „Za naszą i waszą niewolę".

I kto tu zaprzeczy, że ten, co zaczyna od pozbawiania praw innych narodów, kończy jako totalizator własnych rodaków?

VERDAMMTE JUDEN UND POLEN

Jak donosi „Warszawski Dziennik Narodowy", hitlerowscy studenci politechniki gdańskiej wywiesili w oknach jednej z kawiarń we Wrzeszczu taki napis: **Psy i Polacy są niepożądani.** A jak podał „Goniec Warszawski", ktoś dopisał obok tego zakazu „dowcipne" słowa: „Die armen Hunde" **(biedne psy).** Ten sam dziennik pisze, że w gmachu politechniki gdańskiej widnieje sympatyczne hasełko: „Verdammte Juden und Polen", co znaczy: **Przeklęci Żydzi i Polacy.**

Coraz lepiej. Hitlerowskie „wychowanie" skutkuje. To wychowanie w brutalnym szowiniźmie i żydożerstwie — które u nas tak gorąco zachwala „Warszawski Dziennik Narodowy". Od hitlerowskiego odżydzenia jest — jak widać — mały tylko krok do odpolaczenia. Przecież hitlerowska „ideologia" jest totalna, niepodzielna. Nie można wyrwać z niej np. antysemityzmu, jak to czyni „Goniec" — a odrzucić resztę. Bo ta reszta jest właśnie najistotniejsza, a na imię jej: wszechniemiecka hakata. Kto szczepi na polskim gruncie hitlerowską truciznę, choćby „tylko" w postaci antysemityzmu i takiego czy innego totalizmu, kto z duszy narodu wydrzeć chce demokratyczne przywiązanie do wolności i tolerancji, kto w naszym życiu publicznym przekreślić chce zasadę równouprawnienia wszystkich obywateli bez różnicy narodowości i wyznania, rasy i pochodzenia, ten toruje drogę triumfalnemu pochodowi hakaty na ziemie polskie.

HITLEROWSKIE TOKSYNY.

Czytelnicy „Epoki" znają dobrze nasz stosunek do antysemityzmu jako niebezpiecznego narzędzia hitleryzacji Polski. Nie dawno przedstawiliśmy na tych łamach dzieje shitleryzowania szkoły im. Wawelberga. Już po tym przyszły dalsze fakty: ghetto w Akademii Stomatologicznej, rozciągnięte na studentów, asystentów i pacjentów; ghetto w seminariach dla aplikantów. Hitleryzacja kroczy zwycięsko naprzód w Polsce i w... Gdańsku. Kto mówi w Warszawie **Juden heraus** (w polskich słowach lecz w teutońskim duchu) — ten patrzy bezsilnie, gdy huligania gdańska wrzeszczy, już po niemiecku: **Polen heraus!** Precz z Polakami! Oto „przekleństwo złego czynu".

Wina spada na tych wszystkich, którzy w prasie i na trybunie milczeli, gdy we Lwowie polała się krew, gdy dwaj studenci żydowscy, Zellermeyer i Proweller, zginęli zakłuci nożami przez niewykrytych dotąd młodo-hitlerowców! Winni są nie tylko ci, co podjudzają, co propagują antysemityzm „suchy" czy też „mokry". Winni są wszyscy, którzy tolerują zdziczenie — ze strachu, żeby im nie zarzucono, że „bronią Żydów". Winni są wszyscy, którzy dali się zaszantażować przez hitlerochwalców i drżą ze strachu, żeby ich nie nazwano „żydowskimi wujkami".

OPINIA PROFESORA POLITECHNIKI

Prof. Bartel odsłonił w Senacie rozpaczliwy poziom intelektualny młodzieży, którą wychowuje się w hitlerowskim duchu. Dowiedzieliśmy się, że „58 procent studentów nie wiedziało, kto był Raymond Poincaré, a akwafortę określili studenci, idący na wydział architektury jako „ujście wodociągowe". 38 procent nic wogóle o niej powiedzieć nie mogło. 11 procent nic nie wiedziało o Galileuszu, 48 procent nie słyszało o Ryszardzie Wagnerze".

„Kurier Polski" uzupełnił te dane informacją, że na warszawskim wydziale humanistycznym dla niektórych studentów Hektor jest imieniem... psa.

I mówi jeszcze profesor Bartel:

„Dalszą przyczyną obecnego złego stanu rzeczy są stosunki na wyższych uczelniach. Jak się wyraził pan sprawozdawca, są tam „manewry" różnego rodzaju. W panujących warunkach nie można absolutnie pracować. Obliczyłem ile się przez różne zamieszki na wyższych uczelniach traci wykładów i studiów. Np. w ostatnim semestrze zimowym odpadło z moich wykładów i z prac konstrukcyjnych 36 procent. Co jakiś czas są zawieszane wykłady z powodu przeróżnych niepokojów na tle kwestii żydowskiej i kwestii politycznych. Młodzież akademicka chce „rozwiązać" kwestię żydowską. Żydów ma się usunąć z uczelni, a ci, którzy pozostają, mają stać po którejś tam stronie. Na tym tle wybuchają nieustanne awantury.

Atmosfera nie jest do wytrzymania. Jedyną reakcją władz akademickich jest zawieszanie i odwieszanie wykładów. Po wznowieniu wykładów przez kilka tygodni jest spokój, a później powtarza się od początku.

Bierne stanowisko senatów jest dla mnie niezrozumiałe. Jestem naukowcem z zamiłowania, a szkoła jest dla mnie świątynią nauki.

Jeśli w tej szkole mamy do czynienia z wypadkami rozbestwienia, gdy 10-ciu napada na jednego, kłuje go nożami, a nawet zabija, to ja się z tym pogodzić nie mogę, i nigdy się nie pogodzę".

„ŻELAZNOGWARDZIŚCI"

Między poziomem intelektualnym młodych hitlerowców a „etyką", która pozwala im w tchórzliwy sposób mordować bezbronnych kolegów — istnieje bowiem nierozerwalny związek. Nie trzeba znać Galileusza i Wagnera, gdy się zna... Trzeciaka, Mosdorfa i Kowalskiego! Młodzież, a raczej część młodzieży, zatruwana barbarzyńskimi toksynami hitleryzmu, jest **ofiarą** zbrodniczej agitacji, inspirowanej przez zagranicznych wrogów Polski, którzy straszakiem żydowskim usiłują zasłonić przed oczami młodego pokolenia prawdziwe niebezpieczeństwo, grożące Polsce ze strony pangermańskiego imperalizmu a w pogromach i ekscesach przeciwżydowskich rozładować patriotyczne nastroje i rozbroić społeczeństwo wedle starej,

wypróbowanej metody. Antysemityzm jest najlepszą szkołą wszelkich „żelaznogwardzistów“ — przedniej straży wszechniemieckiego marszu na Wschód, proklamowanego w „Mein Kampf“ i w „Mythus des XX Jahrhunderts“. Antysemityzm jest orężem walki z demokracją. A kto chce włączyć Polskę w pangermańską Mitteleuropę, ten musi wpierw rozgromić demokrację polską — najwierniejszą ostoję niepodległości.

PRZYJAŹŃ POLSKO - FRANCUSKA PRZETRWA

Jak nieraz podkreślaliśmy, linia podziału, która odgranicza we Francji obóz monachijski i hitlerofilski od obozu patriotycznego, wyznacza także stosunek obu tych odłamów francuskiej myśli politycznej do sprawy sojuszu polsko-francuskiego. Nie jest oczywiście dziełem przypadku, że francuski obóz monachijski (cieszący się tak gorącą sympatią polskich hitlerowców, faszystów i totalizatorów) gardłuje otwarcie za zerwaniem przymierza z Polską — podczas, gdy obóz antymonachijski, patriotyczny, od skrajnej lewicy aż po równie skrajną prawicę (Kérillis), pragnie utrwalenia i pogłębienia tego sojuszu, opartego na wspólnym interesie i na tradycyjnej sympatii obu narodów. Patrioci francuscy, nacjonaliści i marksiści, katolicy i „masońscy“ radykałowie, rozumieją doskonale, że w przymierzu z Polską ojczyzna ich będzie mogła stawić skuteczny opór agresywnym zakusom osi berlińsko - rzymskiej, przed którą francuska Targowica chciałaby czym prędzej skapitulować. I każdy nie zaczadzony hitleryzmem, patriota polski rozumie równie dobrze, co oznacza dla nas przymierze z Francją w obliczu odrodzonego imperializmu pangermańskiego.

CO MÓWI SOCJALISTA FRANCUSKI?

„Kurier Polski“ zamieszcza wywiad p. Władysława Baranowskiego z przywódcą socjalistów francuskich i jednym z czołowych mężów obozu antymonachijskiego, byłym premierem Leonem Blumem. W wywiadzie czytamy:

„Jak pan słusznie przypuszczał — mówił mi Blum — byłem istotnie promotorem wzmocnienia aljansu polsko-francuskiego w 1936 r. i robiłem to z całego przekonania. Zdając sobie sprawę z ówczesnych ogólno-europejskich stosunków i z osłabionego i niewyraźnego stosunku Polski do nas, w porozumieniu z ówczesnym ministrem Sp. Zagr. Delbosem jak i z naszym sztabem i gen. Gamelin‘em, którzy odnoszą się z całym uznaniem do armii polskiej, spowodowałem wyjazd generała do Warszawy, z zaproszeniem dla Marszałka Śmigłego-Rydza.

— Układy nasze w Rambouillet odbywały się w doskonałej atmosferze zaufania i mieliśmy wszelkie podstawy przypuszczać, że dadzą oczekiwane wyniki.

W dalszym ciągu swego wywiadu premier Blum nie taił, że późniejsza ewolucja wydarzeń, a zwłaszcza stosunek Polski do Sowietów i Czechosłowacji sprawiły mu zawód niemały, aczkolwiek odnosi się on z pełnym zrozumieniem do konieczności przyjaznych stosunków polsko-niemieckich.

— Jeżeli zaś chodzi o moje zdanie — ciągnął p. Blum — o roli Polski w przyszłości — to uważam, że nasz alians z Polską ma pierwszorzędne znaczenie zarówno dla Francji jak i dla Europy. Miejmy więc nadzieję, że stosunki nasze z Polską się wyrównają i widoczna już jest poprawa“.

Goetel i... Mickiewicz

Kto poznał czar prasy brukowej, poznał jej umiar, miłość prawdy i krytyczny stosunek do rzeczy, — ten wyzbył się już wszelkich złudzeń i, zdawałoby się, może być spokojny, że z tej strony nie grożą mu żadne niespodzianki. Tymczasem... Tymczasem **Express Poranny** przyniósł wywiad pana S. W. z panem Goetlem z okazji triumfu, jaki odniosło jego heroiczne dzieło „Pod znakiem faszyzmu“.

Panu S. W. czy bodaj W. S. nie wystarcza, że p. F. Goetel jako akademik już jest nieśmiertelny, zapragnął więc i jego książczynę przenieść także w regiony nieśmiertelności. Prawi zatem bez rumieńca wstydu: „choć pisarz (Goetel) znalazł krytyków, wytykających mu drobne przeoczenia, jest bardzo prawdopodobne, że **wpływ książki** („Pod znakiem faszyzmu“) będzie można kiedyś **zestawić** z **Trybuną Ludów** Mickiewicza“.

Jeżeli ktoś, wyzbywszy się doszczętnie poczucia humoru, zestawiłby, powiedzmy Mniszkównę czy Zarzycką z Sienkiewiczem, lub Żeromskim, a Hrabyka z Świętochowskim, to godzimy się na zestawienie pana Goetla z Mickiewiczem.

Ale gdzie są, u licha, pisma satyryczne w Polsce?

Skandal słownikowy

Zdawałoby się, że słowniki językowe są rzeczą najniewinniejszą, jaką posiadają narody w swoim drukowanym dorobku dzięki Gutenbergowi. Nawet w państwie carów, które szczyciło się najbardziej zajadłą, czujną, podejrzliwą, a jednocześnie najbardziej tępą cenzurą nie było wypadku tropienia słowników.

Dopiero dziś, pod reżymem czarnych koszul, w słonecznej ojczyźnie Dantego znalazł się na indeksie i uległ konfiskacie „Nowy słownik języka włoskiego“, wydany ostatnio przez prof. Manfrediego.

Cóż takiego się stało, że w koszarach policji zatrąbiono na trwogę? Cóż to za ładunek kramoły niespostrzeżenie dostał się pod prasę drukarską i grozi niby dynamit rozsadzeniem faszystowskiej despotii?

Oto poszło w słowniku o rzecz maleńką taką: o wyraz „antysemita“. Prof. Manfredi wyjaśnił znaczenie tego słowa: „antysemita — to osoba mało cywilizowana, która poniewiera Żydami“. Organ Mussoliniego „Popolo d‘Italia“ dopatrzył się w tym objaśnieniu pohańbienia kultury włoskiej, jako że słownik ten ukazał się już po wydaniu przez władców faszystowskich ustaw przeciwżydowskich.

Idź i — pluń w rożu etoj swołoczi Gutienbergu!

Demokracja polska

zawsze walczyła

i walczy obecnie

o przyszłość Polski

Z literatury ekonomicznej

Instytut Gospodarstwa Społecznego wydał ostatnio znów kilka książek. Społeczeństwo rozmaicie reaguje na książki. Podczas, gdy niedawno wystawione w witrynach księgarskich pamiętniki emigrantów z Francji i z Ameryki Południowej z pewnością przepełnią niebawem prasę, — jaskrawe, łatwe do cytowania, wręcz egzotyczne, jak np. pamiętniki amerykańskie, — trudniej o zainteresowanie i poruszenie opinii publicznej zagadnieniami gospodarczymi, zbiorem liczb i tablic, jakim jest książka Ludwika Landaua pt. „Gospodarka światowa[1]).

A przecież książka ta przychodzi w samą porę. Polska, jak i inne kraje opóźnione w rozwoju gospodarczym stoi dziś przed najpoważniejszym problemem: jak rozbudować aparat wytwórczy? Kierunek, metody, tempo? Otóż przy rozważaniu tego najdonioślejszego dla nas problemu napewno bardzo się przyda dokonana przez Ludwika Laudaua analiza struktury światowej produkcji, jej rozmiarów i poziomu dochodu społecznego, osiągniętego w różnych krajach.

Profesor Ludwik Krzywicki w przedmowie do książki pisze, że jest to pierwsza chyba próba zobrazowania gospodarki ogólno-światowej w ten sposób, ażeby uwydatnić dążności występujące w rozwoju gospodarczym w różnych krajach i grupach krajów, wykryć współzależności pomiędzy rozwojem różnych gałęzi gospodarki i wyciągnąć wnioski o głównych, najistotniejszych warunkach postępu, rozwoju gospodarczego.

„Zdawanie sobie sprawy z tych zagadnień jest w chwili obecnej rzeczą szczególnej wagi“ — pisze profesor Krzywicki. „W całym owym przejściu od liberalizmu przedwojennego do współczesnych dążności, polegających na daleko sięgającym wtarganiu państwa w sprawy gospodarcze, chodzi przede wszystkim o świadome dokonywanie zmian w budowie, a więc w ustroju życia gospodarczego. Tak zwanemu interwencjonizmowi koniunkturalnemu przypada w tej działalności rola drugorzędna. Działa bowiem inny czynnik, siły przemożnej. Dotychczasowe przebiegi natury automatycznej, kiedy ruch wędrowny kapitałów przenosił postęp uprzemysłowienia dokonany przez kraje zadomowionego kapitalizmu do krajów „młodych“, uległy zatamowaniu. To zatamowanie zgoła nie jest przypadkowe: jest wytworem przekształceń społecznych, które idą w parze z rozwojem gospodarczym, oraz wyrastających współrzędnie i zaostrzających się sprzeczności. Zwłaszcza kraje „młodego kapitalizmu“ oglądają się za nowymi drogami, a więc zwracają się ku uniezależnieniu siebie od mechanizmu gospodarki kapitalistycznej i ku gospodarce planowej“.

Wprawdzie autor w zakończeniu swej książki uważa że: „zasilanie kapitalizacji krajowej dopływem kapitałów z krajów wielkokapitalistycznych“ jest najszybszym sposobem osiągnięcia zasadniczego celu działalności gospodarczej — rozbudowy aparatu produkcyjnego; nie podobna jednak uznać tego za czynnik poważny, nawet w ramach współczesnego ustroju, dzisiejszej jego fazy, — skoro na innych stronach książki autor zamieścił bardzo ważkie ustępy o zahamowaniu wędrówek kapitałów z krajów wysoko uprzemysłowionych do zacofanych (patrz str. 133 i następne).

Praca p. Landaua jest do użytku, jako synteza statystyki produkcji i dochodu społecznego, jest więc pomocą do wytworzenia sobie obrazu syntetycznego dla „konsumentów statystyki“ jakimi, prócz czytelników, są nieraz i publicyści.

Pierwszorzędne znaczenie ma tu udowodnienie w liczbach, że najistotniejszym warunkiem rozwoju gospodarczego kraju — a więc i jego potęgi gospodarczej jest stworzenie, rozbudowanie, rozszerzenie i podniesienie nowoczesnego aparatu wytwórczego — w postaci wielkiego przemysłu; jest tworzenie — jednej za drugą — gałęzi przemysłów, nowych ośrodków przemysłowych, które, zatrudniając ludność dotąd rolniczą, podnosić ją będą tym samym z najniższego poziomu bytu i potrzeb, rozwijać wewnętrzne rynki odbiorców przemysłu. W obliczu zarysowujących się w rozmaitych kołach i grupach tendencyj zwracania się ku wytwórczości drobno - rzemieślniczej (czasem działają tu nawet wyrachowania natury politycznej: obawa przed wielkoprzemysłowym proletariatem, tworzącym i rozwijającym ruchy społeczne), tendencyj opartych w znacznej mierze na nierozumieniu struktury gospodarczej Polski, jej widoków i konieczności rozwojowych oraz związku pomiędzy rozwojem wielkiego przemysłu a dobrą przyszłością kraju, — materiał dowodowy zawarty w książce Ludwika Landaua nabiera szczególnej wagi. Zasługuje też na to żeby został uprzystępniony — w drodze relacyj o książce — najszerszym kołom naszego czytelnictwa.

Landau rozpatruje w swej książce następujące zagadnienia: strukturę zawodową ludności, produkcję rolniczą (w najszerszym ujęciu słowa), górniczą, przemysłową i w końcu produkcję w jej całokształcie — dochód społeczny. Przyjmuje pod uwagę podział na trzy grupy krajów w świecie, zależnie od stopnia rozwoju gospodarczego: 1) kraje na wysokim poziomie gospodarki kapitalistycznej: w Europie są to Niemcy, Wielka Brytania, Francja, poza Europą — to Stany Zjednoczone, Kanada, Argentyna, Australia, Nowa Zelandia; 2) kraje o przejściowej strukturze gospodarczej — to Włochy i Japonia i 3) kraje częściowo objęte gospodarką kapitalistyczną, kraje rolnicze — są tu europejskie kraje zacofane w rozwoju przemysłowym, wśród których niestety znajduje się jeszcze Polska, pozatem Węgry, Rumunia, Bułgaria, Hiszpania, Portugalia, kraje nadbałtyckie, — poza Europą zaś — Ameryka Środkowa i Południowa, Indie, Chiny, inne kraje azjatyckie i Oceanii,

[1]) Ludwik Landau: Gospodarka światowa, produkcja i dochód społeczny w liczbach, 1939, Warszawa. Wyd. Instytutu Gospodarstwa Społecznego.

Wszechwładztwo ludu w demokracji tylko złudzeniem być przestaje. Każdy członek społeczności równy w nim ma udział. Nie jedna cząstka powszechności, ale naród cały jest tu ustawodawcą; w sumieniu albowiem mas leży najpewniejsza rękojmia, iż ustawy będą prawdziwym objawieniem przedwiecznej, nieomylnej sprawiedliwości.

Z manifestu Towarzystwa Demokratycznego.

Afryka. 4) Czwartą samodzielną pozycję stanowi Z. S. R. R., słusznie wyodrębniony, ze względu na zmienione założenia ustrojowe.

Dla uwidocznienia różnic w rozwoju gospodarczym krajów a również i współzależności tych wszystkich zjawisk można tu podać kilka najważniejszych liczb. A więc np. roczna wartość produkcji rolniczej (w jej całokształcie: roślinna, hodowlana itd.) na głowę ludności wynosi w krajach najwyżej uprzemysłowionych — zamorskich około 4500 zł. (poszczególne zaś kraje, jak Nowa Zelandia i Australia wyholowują przeciętną tej wartości na głowę do 8000 zł). W krajach uprzemysłowionych Europy wahania leżą w granicach od 2000 do 2500 zł. Natomiast w grupie krajów rolniczych, absorbujących tak wiele ludności w pracy na roli, roczna przeciętna wartość całej produkcji rolniczej wypada na głowę: w krajach nadbałtyckich — 1330 zł, na Węgrzech — 1110 zł, w Polsce, Hiszpanii, Rumunii — 700 — 800 zł na głowę (patrz str. 85 i nast.) — Co się tyczy produkcji przemysłowej, tu Stany Zjednoczone wykazują 2300 zł na głowę ludności, Kanada — 1800 zł. Są to kraje najwyżej uprzemysłowione, a jednocześnie są jednak eksporterami artykułów rolnych, ziemiopłodów i hodowlanycn: zatrudnia się tu w rolnictwie zaledwie trzecią do czwartej części ludności a osiąga się produkcję rolną, nasycającą własny kraj i wydającą na zewnątrz nadmiar. Europejskie kraje wielko-kapitalistyczne mają przeciętnie na głowę 1200 zł rocznej wartości produkcji przemysłowej, wśród nich Anglia — 1420 zł. Kraje przejściowe pomiędzy przemysłowymi a rolniczymi — Włochy i Japonia — mają pierwszy 550 zł, drugi — 280 zł; rolnictwo zatrudnia tu około połowy ludności, obok wielkiego przemysłu istnieją i drobne, pierwotne formy wytwórczości. Wreszcie rolnicze kraje, stopniowo dążące do uprzemysłowienia. W tej grupie znajdujemy się i my. Otóż biją nas tu: Hiszpania — 300 zł na głowę, Węgry — 240 zł, kraje nadbałtyckie — 220 zł, Polska ma 160 zł. wartości produkcji przemysłowej rocznie; za Polską, znacznie niżej jeszcze, stoją, Rumunia, Bułgaria, Grecja — 70—80 zł (patrz I. c., str. 123 i in.)[2]). Produkcja górnicza — w przeciętnych wartości rocznej na głowę ludności — wygląda następująco: w wielko-kapitalistycznych krajach poza-europejskich — 230 zł, w europejskich — 80 zł, w krajach zaś rolniczych mamy tu: 20 zł. w krajach europejskich, 10 zł. w poza-europejskich. W obrębie grup krajów różnice są frapujące: np. 260 zł w Stanach Zjednoczonych i 30 zł w Nowej Zelandii. Podobnie w Europie: 130 zł w Anglii i 40 zł w Polsce, która w produkcji górniczej jest na poziomie przeciętnej produkcji świata.

Kraje wielkokapitalistyczne mają najwyższe płace, podczas gdy tania robocizna cechuje kraje zacofane. W Polsce na ogólny poziom bytu obywateli wpływa w sposób decydujący okoliczność, że odsetek ludności żyjący z rolnictwa wynosi u nas 61, podczas gdy — z górnictwa i przemysłu razem — zaledwie 10, w rzemiośle i produkcji usług — aż 29. Pomiędzy zamożnością społeczeństwa a odsetkiem ludności, pracującej w nowoczesnym aparacie wytwórczym, zachodzi bezpośredni związek. Główną bolączką krajów zacofanych w rozwoju gospodarczym, a więc i Polski, jest niedostatecznie rozwinięty przemysł, który nie jest w stanie zatrudnić większej masy ludności. Ogromna część ludności zatrudniona w rolnictwie wegetuje na poziomie właściwej nędzy. Wprawdzie dochód społeczny nielicznych, wąskich kół społeczeństwa może być w tych krajach wysoki, ale poziom życia i potrzeb chłopów, drobnych rzemieślników itp. bywa tu bardzo niski.

Gdy chodzi o pogląd na całokształt produkcji (rolniczej, górniczej, przemysłowej) krajów i dochód społeczny, to mamy tu znów olbrzymie wahania. Zamorskie kraje wielko-przemysłowe osiągnęły poziom rocznej wartości produkcji ogólnej na głowę ludności do 3500 — 4000 zł; tu, w tych krajach „nowych", odpadła wielka przeszkoda — obciążenia starymi formami wytwórczości, tradycjami, przestarzałymi pojęciami, konserwatyzmem itp. Kraje kapitalistyczne starej Europy, dzięki takim garbom, nie osiągnęły poziomu produkcji ponad wartość 1800 zł. rocznie na głowę. W krajach rolniczych i na pół uprzemysłowionych Europy mamy już poziom o wiele niższy: Włochy mają wartość roczną 880 zł produkcji ogólnej na głowę, Polska — 610 zł (patrz str. 137 i następne).

Oto garść liczb z cennej pracy Ludwika Landaua, potrzebnej zarówno w bibliotekach związków zawodowych, jak inteligencji pracującej i badaczy społecznych.

Na zakończenie można dodać, że materiał liczbowy tej książki przekonywuje niezbicie, iż ustrój kapitalistyczny w dzisiejszej swej schyłkowej fazie nie rozporządza już środkami unowocześnienia aparatów wytwórczych w państwach zacofanych. Na wędrówkę kapitałów lepiej nie liczyć. Trzeba szukać innych dróg.

HALINA KRAHELSKA

---

[2]) Polska — 160 zł, wobec 370 zł przeciętnej światowej.

„EPOKA" nie jest pismem przypadkowym ani koniunkturalnym. „EPOKA" kontynuuje tradycję, zapoczątkowaną przez wspaniałe ogniska kultury i myśli polskiej, postępu i wolności — przez „GŁOS", „PRAWDĘ", „OGNIWO", „SPOŁECZEŃSTWO".

„EPOKA" pod inną dziś nazwą, ale pod tym samym sztandarem trwa na szańcu DEMOKRACJI I NIEPODLEGŁOŚCI.

Społeczność obowiązkom swoim wierna, dla wszystkich członków jednakowe zapewnia korzyści: każdemu do zaspokojenia jego potrzeb fizycznych, umysłowych i moralnych równą niesie pomoc; prawo posiadania ziemi i każdej innej własności pracy tylko przyznaje; przez publiczne, jednostajne i wszystkim dostępne wychowanie, przez zupełną, nieograniczoną wolność objawiania myśli, władze członków swoich rozwija; wolności sumienia prześladowaniem i nietolerancją nie krępuje; drogę swobodnego rozwijania się i wyrabiania sił narodowych z przeszkód egoizmu i ciemnoty oczyszcza; i nie pojedyncze tylko, oderwane części narodu, ale całą jego masę koleją ciągłego postępu i doskonalenia prowadzi.

Z manifestu Towarzystwa Demokratycznego.

Uwagi polemiczne o freudyzmie

Zamieszczamy poniżej nadesłany nam artykuł polemiczny, przeciwstawiający się niektórym tezom, zawartym w artykule M. Jordana pt. „Podrabiany realizm“, a dotyczącym freudyzmu. Odpowiedź M. Jordana umieścimy w jednym z najbliższych numerów „Epoki“.

W „Epoce“ z dnia 15.I.39 w artykule pt. „Podrabiany realizm“ zaatakował p. Michał Jordan, na marginesie słusznych rozważań z dziedziny krytyki literackiej, także i freudyzm, załatwiając mimochodem, w kilkunastu wierszach druku, jedną z poważnych i trudnych kwestyj leżącą na pograniczu psychiatrii, psychologii a może i socjologii.

Uważam, że zagadnienia filozoficzne, względnie psychologiczne nie powinny być załatwiane na **marginesie** krytyki literackiej, sądzę raczej, że zasługują one na to — jeśli już są poruszane — aby zająć się nimi w sposób gruntowny i odpowiedzialny. W przeciwnym razie powstaje niebezpieczeństwo, że zostaną nie tylko niesłusznie skrytykowane, ale także w ogóle błędnie przedstawione.

Tak właśnie ma się sprawa z wywodami p. Jordana odnoszącymi się do freudyzmu. Przytoczę je: podświadomość „stanowi istotną, jedynie konkretną sprężynę naszego postępowania. I dlatego literaturę, która nas w to wszystko wtajemnicza zalecają nam jako „nowy“ realizm“. Freudyzm, który tej twórczości dostarczył wiele nieocenionych inspiracyj, jest już tylko szczególnym przypadkiem „nowej“ psychologii pseudorealistycznej. Odpowiada on zresztą najlepiej „naukowym“ potrzebom, teoretycznym postulatom środowisk zdemoralizowanych i uchylających się od obowiązku przekształcania rzeczywistości! Seksualia, jako **motory** działalności ludzkiej (jeżeli to można w ogóle nazwać działalnością), jako metafizyka życiowa, jako źródło moralności i jako prawda artystyczna — toż to wymarzona ideologia zbuntowanego (w kawiarni) snoba“.

Charakterystycznym w przytoczonych wywodach jest zarzut skierowany przeciw freudyzmowi, że on to zajmując się podświadomością i seksualizmem, dostarczył „inspiracji“ demoralizującemu gatunkowi literackiemu, powieści pseudorealistycznej, psychologizującej. Zwróćmy uwagę na to, że freudyzm dostarczył inspiracji nie tylko złym gatunkom literackim (które w odpowiedniej aurze społecznej i tak muszą powstawać), ale również czerpali z niego pełną garścią najwybitniejsi autorzy współcześni, choćby taki Tomasz Mann. Jednak mniejsza o to!

Uważam, że każda nauka (dział nauki) **ma prawo** i powinna się zajmować swoim przedmiotem, **bez względu na to**, jakie ten przedmiot wzbudza w społeczeństwie lub jednostkach, reakcje uczuciowe. Jest rzeczą obojętną czy tym przedmiotem jest gwiazda, czy robak. Nauka stara się zdobyć jak najwięcej twierdzeń prawdziwych, to jest najistotniejszy rdzeń nauki (o innych istotnych cechach nauki w tej chwili nie chcę pisać). Te twierdzenia i narzędzia nauki mogą być używane zarówno dla dobrych jak i złych celów. Skalpel chirurga może uzdrowić, a może też być narzędziem skrytobójczego mordu, wzór chemiczny jest równie dobrze punktem wyjścia dla produkcji trujących gazów jak i lekarstw, tablice anatomiczne bywają obiektem pornografii — jeśli się znajdą w ręku zboczeńca — a także przedmiotem i narzędziem studiów naukowych. Nie sztuka chirurgiczna, nie chemia, ani anatomia jest winną temu, że tak właśnie bywa.

Freud prowadząc metodycznie poprawną i rzetelną pracę naukową nie może odpowiadać za to, że przekręcają jego twierdzenia lub, że fabrykują ze zniekształconych fragmentów freudyzmu, „przeboje“ literackie i nonsensy.[1])

P. Jordan przytacza jako twierdzenie freudyzmu, że podświadomość stanowi jedyną, konkretną sprężynę naszego postępowania. Studiowałem psychoanalizę na uniwersytecie, od kilku miesięcy znów studiuję pisma Freuda, ale takiego twierdzenia nie znalazłem. Wprawdzie Freud twierdzi, że nieświadome pragnienia i przedstawienia są motorem naszego zachowania, ale nie są one według niego jedynym motorem; objektywna rzeczywistość stanowi conajmniej równie ważny czynnik rządzący naszymi postępkami. Według Freuda osobowość ludzka jest wynikiem starcia się popędów osobnika z jego otoczeniem. Popęd seksualny nie jest jedyny, jest on tylko jednym z grupy popędów samozachowawczych przeciwstawiających się grupie popędów śmierci (destrukcji).

Freud, w nauce o popędach, nie jest panseksualistą; twierdzi on jednak, że popęd seksualny jest jednym z najpotężniejszych motorów naszej działalności. To twierdzenie oburza p. Jordana. A jednak psychoanalityczna nauka o popędach jest konsekwencją darwinizmu. Jeśli przyjmiemy z Darwinem i współczesną biologią, że ostatni żyjący szczebel drabiny zwierzęcej stanowi człowiek (rząd: homo sapiens) spokrewniony filogenetycznie najbliżej z żyjącą dziś małpą człekokształtną, to musimy uznać, że postępowaniem człowieka rządzą podobne popędy, które rządzą zachowaniem zwierzęcia. Jeśli u wszystkich zwierząt wyższych mamy do czynienia z popędami, które są źródłem postępowania — jak popęd do odżywiania się, popęd seksualny, wydzielniczy, wiedzy, społeczny itd. — to musimy je znaleźć u człowieka. I psychologia współczesna te popędy u człowieka znajduje i bada, bardzo często na drodze porównywania z analogicznymi cechami u zwierząt.[2])

---

[1]) Podobnie też i wyniki współczesnej fizyki są przekręcane i interpretowane w sensie spółczesnym, wygodnym reakcji. Mimo to ani Plauck ani Einstein nie są za to odpowiedzialni, że ignoranci filozoficzni albo też płatni fałszerze doczepiają do ich pracy naukowej nonsensy lub normy etyczne.

[2]) Np. badania Koehlera nad inteligencją małp.

PRACOWAĆ NAD ROZWIJANIEM WYOBRAŻEŃ DEMOKRATYCZNYCH JEST NAJŚWIĘTSZYM KAŻDEGO POLAKA OBOWIĄZKIEM, BO TU LEŻY ISTOTA NASZEJ NARODOWEJ SIŁY.

HENRYK KAMIEŃSKI

Być może, że to jest niemiłe dla człowieka religijnego, albo hipokryty dowiedzieć się, że jednym z najpotężniejszych motywów jego działalności jest popęd seksualny, tak jak u zwierzęcia, ale zadaniem nauki nie jest „pia fraus“, z tym muszą się ci ludzie pogodzić.[3]) Twierdząc, że popędy człowieka są w swej istocie zwierzęce lub pokrewne popędom wyższych zwierząt, nie występujemy oczywiście przeciw tezie jakoby zachowaniem się człowieka — jednostki i społeczeństwa — rządziły także prawa wyższe niż prawa biologii i psychologii.

W dalszym ciągu twierdzi p. Jordan, że freudyzm odpowiada najbardziej pseudo-naukowym potrzebom środowisk zdemoralizowanych i uchylających się od obowiązku przekształcania rzeczywistości.[4]) Mógłbym się zgodzić na to, że takim środowiskom odpowiadają traktujące pornograficznie seksualia utwory literatury pięknej, począwszy od utworów Ewersa, a skończywszy na książkach Lawrence. Ale one nie są freudyzmem. Tam gdzie one mają największe powodzenie, tam freudyzm znajduje prawdopodobnie najsilniejszy odpór. Stanowi on nie tylko teorię naukową, ale też dąży do przekształcenia rzeczywistości, chce **leczyć neurozy.** Dziś freudyzm jest najbardziej rozpowszechniony w U. S. A., we Francji, Anglii, Szwajcarii, a więc w krajach gdzie obywatelom wolno myśleć, krytykować, politykować, przekształcać rzeczywistość.

[3]) Współczesna psychologia zajmuje stanowisko, że olbrzymia energia popędu seksualnego może być skierowana ku realizacji celów artystycznych i naukowych (Claparède, pastor Pfister, Aichhorn, B. Russel i inni) oraz że tak się dzieje.

[4]) Jeśli tak jest, to dlaczego Freud nie mógł uzyskać w k.u.k. Wiedniu katedry?

W Niemczech freudyzm jest zakazany, podobnie jak zakazaną jest teoria względności i wszelkie dzieła pisarzy mających odwagę przeciwstawić się rasizmowi i niewoli duchowej i materialnej. Freudyzm nie jest metafizyką, ani nie jest kodeksem etycznym, ani też nie stanowi filozofii życiowej; seksualia nie są dla niego prawdą artystyczną. Kto przeczyta uważnie parę dzieł Freuda, nic podobnego tam nie znajdzie. Jest freudyzm jednym z głównych dziś prądów psychologii, nie stanowi wypadku psychologii pseudorealnej (?) a wiele twierdzeń freudyzmu stanowi cenny i trwały nabytek nauki.[5]) Założenia metodologiczne, które Freud przyjmuje jako twórca psychoanalizy — determinizm, ewolucja gatunków, obojętność na autorytety, konieczność ścisłej współpracy z innymi naukami pozytywnymi — stanowią o nieprzemijającej wartości jego badań. Z pewnością wiele twierdzeń psychoanalizy zostanie obalonych — to jest los każdej doktryny naukowej — ale metoda pracy i odwaga czyni dzieło Freuda nieśmiertelnym. Zasługuje on na to w zupełności, aby sądy o jego pracy formułować rozważnie, na podstawie lektury jego dzieł. Wyniki długich, szczególnych i poprawnie prowadzonych studiów nie mogą być negowane na marginesie rozważań z innej dziedziny i to na marginesie krytyki literackiej. Stawianie na jednej płaszczyźnie utworów literackich, których funkcją jest maskowanie rzeczywistości, narkotyzowanie, oraz doktryny naukowej, która tę rzeczywistość trzeźwo i bezlitośnie analizuje, jest krzywdą dla nauki.

M. GEPPERT

[5]) Teoria snu, seksualizm infantylny, sublimacja popędu płciowego.

Nowe pismo ludowe

Pod redakcją Józefa Niećki ukazał się 1 (lutowy) zeszyt miesięcznika **Chłopski Świat.** W artykule redakcyjnym znajdujemy następującą deklarację programową:

„Będziemy w naszym piśmie **zgodnie z całym ruchem ludowym i pod jego sztandarami** rozsnuwać tę najdłuższą na naszej ziemi przędzę wielowiekowego myślenia i czucia chłopskiego, będziemy ją rozjaśniać i umacniać, będziemy z niej tkać system nowoczesnych poglądów, **aby mościły drogę walczącym chłopskim sztandarom“.**

Pismo, które stawia sobie takie zadania, może liczyć na sympatię i poparcie nie tylko w szeregach ludowych, ale i w całym obozie demokratycznym. Poświęcony kulturze i twórczości chłopskiej nowy miesięcznik — jeżeli pójdzie drogą wyżej nakreśloną — spełni doniosłą rolę w pogłębianiu polskiej myśli ludowej, a przez to samo wzbogaci dorobek ideologiczny całej demokracji. Należy tedy spodziewać się, że **Chłopski Świat** da wyraz wszystkim

twórczym i szczerze demokratycznym prądom ideowym, nurtującym ruch ludowy i wiciowy — a jednocześnie będzie służył wielkiej sprawie zbliżenia ruchu chłopskiego z innymi odłamami demokracji. W tym duchu życzyć należy nowemu pismu owocnej pracy i jak najszerszego rozpowszechnienia.

Współpracę w **Chłopskim Świecie** zapowiedzieli dotąd między innymi: Jan Wiktor, Stanisław Araszkiewicz, Bolesław Babski, Wincenty Burek, Stanisław Młodożeniec, Józef Grudziński, Czesław Wycech, Jan Domański, Aleksander Bogusławski. W ich ślady pójdą niewątpliwie inni pisarze i publicyści ludowi i stworzą z nowego pisma prawdziwą, wszechstronną trybunę myśli chłopskiej i demokratycznej.

Adres: **Warszawa, Książęca 4 m 1.**

KSIĄŻKI NADESŁANE

Wydawnictwa T-wa „Rój"

W. Speyer: Historia jednej nocy. Powieść. Przełożyła **Maria Różycka.** Warszawa 1939.

Zofia Szymanowska: Spotkanie. Opowiadania. Warszawa 1939.

Roger Martin du Gard: Lato 1914. 3 tomy. Zamknięcie cyklu „Rodzina Thibault". Przełożył **Ksawery Pruszyński.** Warszawa 1939.

Halina Górska: Ucieczki. II część cyklu „Barak płonie". Warszawa 1939.

Witold Hulewicz: Przybłęda boży. Beethowen: Czyn i człowiek. Warszawa 1939.

Ks. dr. Emil Jelinek: Świecki pisarz o teologii Kalwina. Odbitka z „Jednoty". Warszawa 1939.

Wczoraj i Dzisiaj: Zbiór publikacyj. Wydał **Burda Andrzej.** Kraków 1939.

Dr William J. Hale: Dobrobyt świta. Nowa era alkoholowa. Nakładem Zakł. Chemicznych „Kutno". 1939.

Mieczysław Małecki: Język polski na południe od Karpat. Biblioteczka T-wa „Miłośników Języka Polskiego". Gebethner i Wolff. 1939.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani O. M. w Zakopanem: Uwagi Pani przekazaliśmy autorowi recenzji. Książka była już omówiona w Nr 3 „Epoki".

Nauczycielowi w Lublinie: Fragmenty krytyki „Legendy Młodej Polski" ukażą się w jednym z najbliższych numerów. Szczegóły biograficzne znajdzie Pan w Nr Nr 34, 35, 36 „Epoki" z ubiegłego roku.

Nauczycielowi w Buczaczu: „Ogniwo" wychodziło w Warszawie od 1902 do 1905, początkowo pod redakcją G. Korbuta, później Ludwika Krzywickiego, Stanisława Poznera i Stanisława Stempowskiego. Wydawcą był L. Niemyski. „Głos" J. Wł. Dawida, W. Nałkowskiego i St. Brzozowskiego, zamknięty przez władze carskie wychodził p.n. „Przegląd Społeczny", później p.n. „Społeczeństwo", (do 1910 r.) redagowane nadal przez Dawida, Nałkowskiego i przez obecnego redaktora „Epoki". Więc „Epoka" nie tylko z ducha jest kontynuacją tych ognisk kultury i myśli, lecz jest żywym ich łącznikiem. Roczników, niestety, nie posiadamy do odstąpienia.

Pani J. R. w Zaleszczykach: Nie możemy z braku czasu ocenić Pani utworu. Powołaną do tego instytucją jest „Młody Teatr" w Warszawie.

Pani Z. C. w Otwocku: Nie skorzystamy. Nadaje się jako korespondencja do dziennika.

Przyjacielowi w Tarnowie: Administracja pisma odpowie Panu listownie. Jesteśmy Panu bardzo wdzięczni.

Panu J. S. w Wolbórzu: Za pamięć serdecznie Panu dziękujemy. Numery wysłaliśmy.

Panu P. G. w Sosnowcu: Stosuje Pan niewłaściwe kryteria: są to kryteria kupieckie, które do rzeczy ideowych nie nadają się. W walce z napastniczą reakcją i ciemnymi siłami każdy ośrodek demokratyczny jest dziś godny poparcia. Dlatego nie uznajemy współzawodnictwa z innymi organami demokracji, wszystkie są organami bratnimi i z powodzenia każdego z nich tylko cieszyć się można.

Panu M. J. H. w Rzeszowie: Za słowa uznania, za pamięć i poparcie serdecznie dziękujemy. Wszystkie numery wysłaliśmy.

OD WYDAWNICTWA

ABONENTÓW, KTÓRZY ZALEGAJĄ Z OPŁATĄ PRENUMERATY ZA KWARTAŁ UBIEGŁY PROSIMY O UREGULOWANIE NALEŻNOŚCI

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26 630
REDAKTOR przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm, lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł. 1.—, w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.
REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 175 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3